Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 26 września 1937 r. — Nr. 39



NITOKI

Och, ty maleńka, droga Nitoki!
Już oto dobę, tym morzem sinym,
Do mei ojczyzny na zachód płynę
I wiozę smutek w sercu głęboki...

Czy wiesz, że twoje drapieżne ręce
I ust twych krwawe, najsłodsze pąki,
W czar wzięły duszę?... i w dniach rozłąki
Jakiejś przedziwnej poddały męce?...

Nitoki! Cudna! Czy ty pamiętasz
Brzeg złotej rzeki i dzień ten słodki,
W którym cię pierwszy raz nagle spotkał
Biały dżentelmen o oczach smętnych?...

Byłaś prześliczna i jak zagadka
W tym cud — kimonie z błękitnym „obi",
Byłaś przesmutna, ach, ręce obie
Wtedym wyciągnął, jakby do kwiatka.

Nitoki! Dobę już długą płynę
Przez to dalekie, to sine morze,
Do mej ojczyzny i w fal rozhoworze,
Wciąż słyszę tylko twe słodkie imię....

— — — — — —

Nie, nie chcę wrócić, czar stłumię, rzucę!....
Wszak na zachodzie czeka mnie dziewczę
O prostej duszy... ale... twej jeszcze
Nie odkryłem, więc... na pewno wrócę!...

Maria Zemmlerówna.

MARIA REUTT

7)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Cóż oni lepszego ode mnie, że wolno im drwić? — buntowała się w myśli. Podniosła głowę ruchem wyniosłym.

— Omylił się pan. Nie analizowałam nikogo. Myślami byłam tak daleko stąd, w innych stronach, w innym otoczeniu.

— Tak samo i pani nie ma racji — zwróciła się do Ludki — nie krytykowałam przy pani jeszcze nikogo.

— Za młoda pani na krytykę i za ładna — wdzięczył się do niej pan Kryzowski, ucieszony, że odkrył urodę nauczycielki. — Pani niedawno w tych stronach? — zaczął indagację, przerywając sam drażliwy przedmiot.

— Od paru tygodni dopiero....

— A skąd?

— Spod Ostroga, z Wołynia.

— Jak się pani podoba tutaj u nas? — ciągnął.

— Owszem, bardzo, a szczególnie w Ciemierzewie.

— Będziecie państwo mieli niedługo wizytę hrabiego Bugrowcewa — przypomniał sobie.

— Skąd pan wie? — rozległy się zapytania.

— Był u nas wczoraj i mówił, że od przyszłego tygodnia zacznie składać wizyty sąsiadom.

— Niech pan powie, jak on wygląda? — zainteresowała się panna Ludka.

— Wysoki blondyn, przystojny.... Trochę go szpeci szrama na czole od cięcia szablą. Podobno otrzymał ją podczas walk z bolszewikami na Syberii... Mówi nieźle po polsku, ale z rosyjskim akcentem. Widać było z jego odezwań się, że chodzi mu o dobre sąsiedzkie stosunki i o podkreślenie swej lojalności względem państwa, którego jest obywatelem. Urodzony w Macierzance, zapisany w księgi ludności tutejszej, automatycznie jest poddanym polskim.

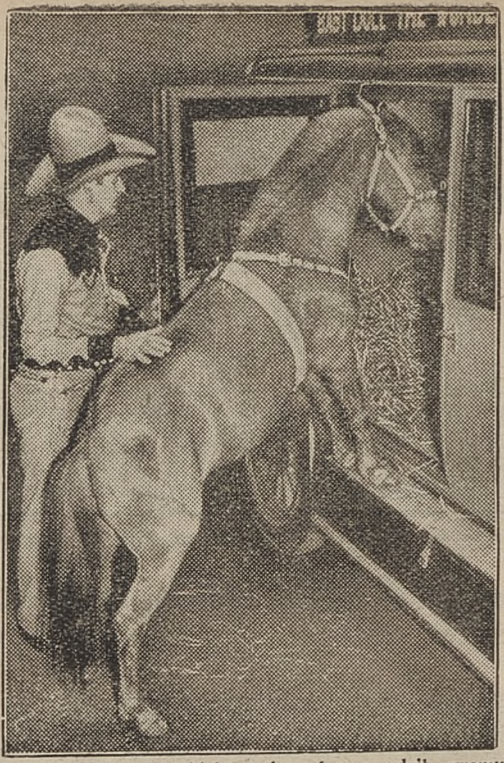
— Cieszę się, że go poznam, bo to nasz najbliższy sąsiad — wtrąciła tonem wyraźnej uciechy panna Ludka.

KTOŚ TRZECI.

Pewnego dnia nareszcie przyjechał hrabia Bugrowcew.

Powozem, zaprzężonym parą kasztanów, w nieskazitelnie uszytym garniturze wizytowym, wysoki, postawny, ugrzeczniony.

Zastał całe towarzystwo na werandzie od ogrodu. Panna Ludka na wiadomość o jego przyjeździe zerwała się z miejsca jak ptak spłoszony i pobiegła przypudrować się. Wróciła przebrana, podmalowana, przyczesana.



Jeden z amerykańskich cyrkowców urządził swemu tresowanemu kucowi stajnię — w samochodzie.

Na jej widok błysnęły mu oczy.

— Nie wiedział ja, jadąc, że taką krasawicę poznam — wymówił Bugrowcew półgłosem, jakby mimo woli zerwały mu się te słowa z ust, kłaniając się nisko.

Panna Ludka promieniała.

Ma nowego adoratora i to bogacza, jakich mało! Ogromny szmat ziemi, całe pasy lasów w powiecie należały do niego. Majątek ten jego dziad, generał, kupił z wolnej ręki. Żonaty z księżniczką Romanowskoją, mieszkał przeważnie w Polsce. Dopiero syn jego po śmierci żony, z paroletnim synem przeniósł się na stałe do majątku matki, Pokrówki pod Tambowem.

Nic więc dziwnego, że podatna na podniety, płynące od każdego ewentualnego nowego adoratora, piękniała i promieniała...

Bugrowcew na Dankę nawet nie spojrzał.

Ona siedziała cicha, milcząca, zgaszona jak zawsze.

Bugrowcew, jako na pierwszej wizycie, nie bawił długo, ale razem z Ludką zrobili całą masę projektów. Konna jazda, tennis, pływanie łódkami...

Gdy wyjechał, Ludka kołysała się rozmarzona na bujaku. Danka zachowała swoje zamyślone usposobienie.

— Panno Danko — gderał życzliwie pan Ciemierzewski — nie można być taką apatyczną i milczącą. Gdzie pani życie podziała?...

— Zgubiłam je w Bolszewji, gdy mnie pędzono w głąb Rosji...

— Pani teraz jest w Polsce, wśród swoich i życzliwych jej — trzeba zapomnieć o tamtym, otrząsnąć się i zastosować do nowych warunków. Pani taka przecież jeszcze młoda... niech pani spojrzy na Ludkę, chwyta radość życia na prawo i na lewo...

— Panna Ludka jest w innych warunkach..

— Wcale nie, Ludka też pracuje i to sumiennie w biurze, odkąd dorosła. Ale ta radość życia ułatwia jej pracę i zjednuje przyjaciół. Do góry więc głowa, panno Danko!

W odpowiedzi na te życzliwe słowa, Danka uśmiechnęła się, tylko do Ciemierzewskiego. Cóż mu bowiem miała opwiedzieć? Gdyby wiedział, gdyby znał jej tragedię, — inaczejby mówił, a może nawet, mimo współczucia, bałby się ją trzymać w Ciemierzewie, jako nauczycielkę córek...

Wszedł Andrzej w ubraniu tennisowym, z rakietą pod pachą. Ludka ocknęła się ze swego rozmarzenia i zawołała do niego:

— Był hrabia Bugrowcew, zachwycona nim jestem...

— A on panią... — wtrącił przez zaciśnięte zęby student.

— I pani się podobał? — spytał Andrzej Danki, przytrzymując dłużej w uścisku jej rękę.

— Owszem, przystojny i elegancki, ale ja nie lubię Moskali — odpowiedziała, wycofując mu rękę z uścisku delikatnie, ale stanowczo.

— Nie można być ciągle szowinistka, dopratując się nagany w tym odezwaniu.

— Nie trzeba być koniecznie szowinistką, by kogoś nie lubić.

— Idziemy na tennis — przerwała ten spór pani Ciemierzewska.

WALKA Z PRZESZŁOŚCIĄ.

Ludka zerwała się z fotelu i razem z panią domu wyszły zmienić buciki.

Andrzej usiadł na miejscu Ludki.

— Miłe dziewczę, ale jeszcze bardzo młoda usposobieniem — powiedział, uśmiechając się do Danki.

— Życie jej nie dotknęło swym twardym kantem i mam nadzieję, że nie dotknie, bo starłoby z niej ten urok szczęśliwej, niefrasobliwej kobiecości, która panów tak czaruje — kiwnęła głową w stronę milczącego studenta.

— I pani byłaby prześliczną, gdyby chciała choć trochę tej kobiecości, co w niej drzemie, wydobyć na zewnątrz, przystroić się w nią — zauważył student.

Rozpogodzona twarz dziewczęcia powlokła się chłodem.

— Przyjechałam tu uczyć dzieci, a nie prezentować swoje uroki.

Wstała.

— Dziewczynki gdzieś mi się podziały — poszły z boną na wieś, ale obiecały wrócić niedługo... — objaśniła, kierując się do drzwi.

Andrzej patrzył na nią z uśmiechem, a Danka myślała:

Nie, to nie Pietrow, na pewno nie mógł być. Tamten był Moskalem z krwi i kości, w każdym słowie, w każdym ruchu, w każdym calu. Przecież, gdy żyła z nim i obok niego przeszło rok, nie ukryłoby się to,

wygadałby się kiedyś, jeżeli nie trzeźwy, to pijany.

Ale dlaczego wydaje jej się taki znajomy? Szczególniej te oczy i uśmiech tak ją niepokoją, wywołują wspomnienia Bolszewii i mąk przebytych, i to imię....

Ten rosły Moskal, co przed chwilą był tutaj, źle mówiący po polsku, nie poruszył jej, nie wywołał żadnych obrazów w pamięci — a ten wytworny dyplomata swoim widokiem przygnębiał ją, budził trwożne przeczucia.

— Niech pani nie ucieka. Znajdą panią i tutaj — prosił.

— Panna Danka zawsze taka dzika — zauważył pan Leon.

Dankę jednak denerwował ten student z miną obitego psa — melancholijny, skomlący a złośliwy. Nie lubiła takich. Odpowiedziała ostro:

— Nie jestem dzika i nie uciekam. Pan zapomina o moim stanowisku nauczycielki. Ponieważ dobrze mi tu, więc dla chwilowej przyjemności nie chciałabym ryzykować posady.

Weszły obydwie panie w białych sukienkach, z rakietami w ręku.

— Panie Leonie, czekamy na korcie.

Zeszły do ogrodu. Już na ścieżce, pani Ciemierzewską odwróciła głowę w stronę stojącej przy balustradzie Danki.

— Może pani na zmianę z panem Leonem zagra z nami?...

— Ach nie, — zaprotestowała Ludka — panna Danka nie umie jeszcze grać... Zepsułaby nam tylko grę...

Panią Ciemierzewską zażenowało to dość bezceremonialne odezwanie się Ludki. Dodała więc:

— No, ale przecież dziewczynki pojechały do sąsiedniego folwarku i nie prędko wrócą, chyba dopiero na kolację, może więc pani przejdzie się.

— Dziękuję pani, skorzystam z pozwolenia.

* * *

— Dlaczego jesteś zawsze taka niegrzeczna dla tej dziewczyny? — nie mogła powstrzymać się od uwagi pani Ciemierzewska, trochę rozżalona na siostrę.

— Bo ona działa mi na nerwy z tą twarzą płaczki...

— Jesteś dla niej niesprawiedliwa — stwierdziła pani Ciemierzewska — naszym obowiązkiem jest mieć więcej wyrozumienia dla tych, co u nas pracują....

* * *

Danka tymczasem szła dróżką na przełaj do Ustronia. Żyto na polach stało już w snopkach i stertach i pomimo gorącego lata, mówiło już o jesieni. Cel lata osiągnięty, plon zebrany. Nie falowały już łany, nie złociło już zboże, szare rżyska jeżyły się lub pstrzyły snopami.

Z niechęcią, okrążając polem minęła Bogdanówkę, siedzibę hrabiego Bogrowcewa. Przez szeroko rozwartą bramę, widać było zielony gazon, upstrzony kwiatami, wyniosły portyk pałacu i duże szyby okien, błyszczące w słońcu.

Potykając się na bruzdach, zeszła znów na ścieżkę, gdy przecinając jej drogę ,wyrósł przed nią jak spod ziemi jeździec na koniu.

Przeraziła się i uskoczyła w bok z lekkim okrzykiem.

Hrabia zeskoczył z konia. — Przestraszyłem panią? — oczy jego ciemno-niebieskie patrzyły życzliwo-żartobliwie spod ciężkich, opuszczonych na oczy powiek.

Oryginalną miał oprawę tych oczu.

Jedna brew i powieka była uniesiona trochę w górę, druga lekko opuszczona w dół; wzdłuż tej powieki biegła cienka długa szrama. Nie szpeciło go to, wprost przeciwnie dodawało pewnej oryginalności wschodniej, drażniącej, niepokojącej.

Próbowała uśmiechnąć się, siliła się na swobodę.

— Owszem, wystraszyłam się. Zjawił się pan tak niespodziewanie, że zaskoczyło mnie to pojawienie się.

— Dojrzałem panią z daleka i specjalnie przeciąłem jej drogę, by się z nią spotkać.

Nie podziękowała mu ani wzrokiem ni słowami, jak również nie przyznała mu się, że spotkanie to było dla niej bardzo nieprzyjemne, bo wywoływało wspomnienia przeżyć, które starała się zasnuć choć częściowo mgłą zapomnienia.

Idący obok niej mężczyzna był jej obcy, nieznany, ale fakt, że był Rosjaninem, wystarczał, by rozkrwawić na nowo zabliźniającą się ranę okropnych mąk, przecierpianych przez nią.

Ludzie w Polsce jak i zagranicą dziwną lekkomyślnością odróżniają Rosjan od Bolszewików jak gdyby Bolszewicy nie byli tymi samymi Rosjanami, jakby to była odrębna rasa obca i wroga Rosjanom, a nie ci sami Rosjanie z ich spaczoną psychiką, z ich dzikością i brutalnością pod płaszczykiem pozornej kultury i dobroduszności.

Dla niej, która tak blisko stykała się z Bolszewikami, nie było żadnej



Młodociany, król jugosłowiański Piotr II., który obecnie skończył 14 rok życia, w obozie letnim w gronie swych kolegów szkolnych.

różnicy, i w każdym moskalu widziała zarodek bolszewizmu. Przecież ojcem rosyjskiego komunizmu był hrabia, którego matka księżniczka z domu znana była jako wytworna, wyniosła dama, estetka obracająca się wśród najwyższego towarzystwa, a sam hrabia ubierał się w rosyjską rubaszkę, grube buty, łzy ronił nad każdą dziewką ze wsi, którą panicz porzucił, a chłop wziął za żonę, a jadał na porcelanie z cesarskiej fabryki, mieszkał w pałacu i nic więcej od innych nie płacił służbie, pracownikom, rolnym niż ci, którzy jego idee nazywali zwariowanymi.

A zabardzo dużo wycierpiała od bolszewików, by zetknięcie się z każdym rosjaninem nie wywołało w niej odruchu niechęci.

— Nie pyta pani dlaczego? zajrzał jej w oczy.

Wzruszyła ramionami wroga, nieufna.

— Z natury nie jestem ciekawa — mruknęła.

— Niech pani nie obmawia siebie, bo człowiek inteligentny, musi być ciekawy, przecież ciekawość jest drogą do mądrości.

— Nie mam pretensji do mądrości — odrzuciła.

— Piękna kobieta nie potrzebuje mądrości, by ludzi zachwycać.

I ten komplement jej nie ułagodził. Piękność była jej przekleństwem. Pietrow nie wziąłby jej do siebie, nie rozłączył z matką, nie zbeszczecił i zamknął drogę do zwykłego kobiecego szczęścia do zamążpójścia i dzieci, gdyby nie była ładna.

Zmarszczyła brwi i odpowiedziała niechętnie:

— Zapomina pan hrabia, że nie z panną Ludką rozmawia, ale z ubogą nauczycielką, dla której uroda jest raczej przeszkodą w życiu, niż zaletą.

— Gdyby pani chciała nie potrzebowałaby pani pracować.. — powiedział znacząco.

Zaczerwieniła się z obrazy i gniewu. Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz zmarszczywszy brwi.

— Ale ja wolę pracować — odparła z naciskiem — i jestem w zupełności zadowolona ze swego losu.

Doszli do dworku. Kiwnęła mu głową nie podając ręki:

— Do widzenia panu hrabiemu.

Otworzyła furtkę i nie oglądając się weszła do ogródka.

Hrabia patrzył za nią póki nie zniknęła w drzwiach, na usta wypełzł mu ironiczny uśmiech, oczy zwężyły się w szparki.

Wskoczył na konia i uderzył go spicrutą. Koń stanął dęba, opadł lekko na ziemię i popędził przed siebie.

* * *

Danka nie zastała pani Bogdzińskiej. Pojechała ona z córką do miasteczka.

* * *

Panna Ludka z panią Ciemierzewską wybrały się do Częstochowy po sprawunki. Ludka oprócz tego chciała wstąpić do fryzjera.

Po ouiedzie pan Ciemierzewski z Leonem pojechali w pole, Danka wyszła do ogrodu z dziewczynkami po skończonych lekcjach.

— Panno Danko pobawmy się — prosiły dziewczynki — pani będzie nas łapać, a my panią.

Zgodziła się, Tak mało miała ruchu, a popołudnie nie było zbytnio gorące.

Goniła więc dziewczęta z energią i zręcznością, wreszcie i ona musiała uciekać przd nimi.

Biegła co sił aleją grabową, skręciła raptownie w ścieszkę różaną i wpadła w objęcia Andrzeja. Przytrzymał ją.

— Niech mnie pan puści — prosiła zadyszana — dziewczynki mnie gonią.

Chwycił ją za rękę i pobiegli razem.

Nie spostrzegli, że Józia zawróciła z alei, przez trawnik przecięła im droge i chwyciwszy Dankę za rękę: — mam! — krzyknęła triumfalnie. Zauważyła Andrzeja i wydała drugi okrzyk tym razem radosny: — Stryjcio! — zawisła na jego szyi. Myśka, która znalazła się obok, tuliła jego rękę do twarzy.

— Stryju, chodźmy grać w tenisa z panną Danką.

— Umie pani grać?

— Troszkę... dziewczynki mnie uczą...

— No więc dalej pobiegnijcie porakiety.

— Bardzo się pani między nami przykrzy — pytał ją, uśmiechając się przyjaźnie.

— Ten uśmiech! Taki znajomy i taki niespokojny!

Zakłuło ją w piersiach. Zmusiła się do spokojnej odpowiedzi:

— Czuję się tu jak w raju. Państwo Ciemierzewscy tacy dobrzy, dziewczynki przemiłe.

Już biegły niosąc rakiety.

Grała słabo, ale lepiej niż przypuszczał, a przytym była taka zręczna. Zmęczyli się, więc opuścili kort i szli ku domowi, gdy na ścieżce ukazał się hrabia Bogrowcew. Był ubrany do konnej jazdy, w ręku trzymał spicrutę.

— Cioci nie ma — zawołały na jego widok dziewczynki.

— Wiem już. Służba zakomunikowała mi to, a mimo to, zostałem, gdyż chciałbym się zapytać pana Ciemierzewskiego o jednego człowieka, który zgłosił się do mnie na służbę i powołuje się na referencje pana Ciemierzewskiego — mówił, witając się z Danką i Andrzejem.

— Mój brat wkrótce nadjedzie — objaśnił Andrzej.

Usiedli na ganku. Danka pod pozorem, że musi dopilnować by dziewczynki pochowały rakiety, odeszła do siebie.

Panowie rozmawiali o żniwach, o stosunkach rolnych i towarzyskich okolicy, o polityce. Obaj poprawni, spokojni, palili papierosy częstując się nawzajem.

Gdy Leon ujrzał hrabiego, ucieszył się, że nie ma Ludki, gdyż wyobraził sobie, jak będzie ona z tego niezadowolona. Usiadł w cieniu w kącie ławki i krytycznie obserwował postać hrabiego. — Co ona widzi w tym mochu? — myślał z goryczą.

Hrabia wyłuszczył swój interes.

— Owszem, pan Ciemierzewski znał tego człowieka jako dobrego i uczciwego pracownika i polecał go szczerze.

* * *

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

49)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Miała przecie przyjaciół, którzy jej dawali tyle dowodów serca. Oni jej pomogą i nie opuszczę w niedoli.

A więc Steingräberowie, którzy za nią gotowi byli skoczyć w ogień, przede wszystkim wzięliby ją do siebie.

Bullmanowie, którym trzymała dziecko do chrztu, będą szczęśliwi, jeżeli ona zechce u nich zamieszkać.

Ale przede wszystkim do Linzlów! Z Eberhardem Linzlem była przecie prawie, że zaręczona! Żałowała, że na owej uczcie od razu się nie zgodziła na jego propozycję i chciała to teraz naprawić.

Zawsze to lepiej być żoną choćby kupczyka, niż starą panną, która sama musi pracować na siebie.

Wprawdzie Eberhardt nie jawił się przed sądem jako świadek, ale temu Anastazja nie przypisywała żadnego znaczenia.

...Owszem! to był dla niej dobry pretekst, żeby pójść do niej i zapytać o zdrowie ukochanego narzeczonego.

Przyszła tam wieczorem.

Otoczyła ją wystrojona niezwykle służąca.

Anastazja widziała ze zdumieniem, że w przedpokoju pełno było płaszczów i kapeluszy, co najwyraźniej świadczyło o tym, że tam są goście.

— Goście są? — zapytała zdziwiona, że jej nie zaproszono.

— Tak jest — odpowiedziała służąca zakłopotana.

— Pomóż mi zdjąć okrycie — rzekła gniewnie Anastazja — a przypuszczam, że nie będę przeszkadzać, jakkolwiek przychodzę niespodzianie.

Na twarzy służącej odmalowało się większe jeszcze zakłopotanie.

Miała rozkaz dawno już wydany, że na wypadek przybycia panny Rother ma powiedzieć, że nikogo nie ma w domu.

W tym wypadku nie mogła tak powiedzieć i nie wiedziała, co zrobić.

Ze śmiertelną trwogą widziała, jak Anastazja zdejmuje okrycie, poprawia włosy przed lustrem i z pewnością siebie, jak przyjaciółka domu, wchodzi do salonu.

„Ładna będzie awantura"! pomyślała patrząc za nią i łamiąc ręce.

Anastazja doznała przyjęcia wcale niespodziewanego.

Gdy stanąwszy na progu powitała wszystkich uśmiechem i ukłonem, zobaczyła na twarzach wszystkich taki przestrach, jak gdyby była upiorem, który wstał z grobu, albo przynajmniej osobą, dotkniętą jakąś straszną zarazą.

Pani Linzel omal nie zdławiła się kawałkiem tortu, który właśnie połykała i patrzyła na Anastazję osłupiałym wzrokiem.

Eberhardt Linzel skrył się za szerokie plecy pani Linzel, a inni patrzyli jakby skamieniali.

— Uważam, że przeszkadzam państwu — zaczęła Anastazja drżącym głosem, w którym malowała się wściekłość tłumiona, zdziwienie i rozgoryczenie.

Teraz dopiero pani Linzel opamiętała się i wstała.

— Dzień dobry, kochana pani — rzekła zimno. Przyznaję, że wizyta przyszła zupełnie niespodzianie. Byliśmy w



Przygodny grajek...

ścisłym kółku najlepszych przyjaciół, więc byłam zdziwiona przybyciem pani.

Anastazja oblała się rumieńcem oburzenia i gniewu.

Niedalej jak tydzień temu słyszała z tych samych ust, że jest najlepszą, najbliższą przyjaciółką ich domu!

— Skoro przeszkadzam, to pójdę! — odpowiedziała Anastazja, próbując udać godność, ale stała na miejscu.

— O! niech pani zostanie! niech pani zostanie! — zapraszała chłodno pani Linzel — niech pani zje kawałek tortu, to dla pani rzadka sposobność.

Mimo, że zaproszenie było tak niegrzeczne, Anastazja została.

Dobrotliwa, mała jakaś panna, którą Anastazja dawniej traktowała bardzo z góry, przysunęła jej krzesło i uprzejmie współczuła z nią, że ją spotkało takie nieszczęście.

Z Linzlów nikt zresztą nie przystępował do niej, by ją powitać.

Pani Linzel rozmawiała z sąsiadką, i kilka razy głośno mówiła coś o osobach, które się narzucają, przy czym znacząco patrzyła na Anastazję.

Pan Linzel, który w ogóle był małomowny, i teraz nic nie mówił. Ale jego synowie, którzy zresztą zawsze wobec Anastazji byli bardzo wymowni, teraz gubili się gdzieś między gośćmi.

Herbert rozmawiał z panią Ballmen. Anastazja czekała pierwszej sposobności i pochylając się ku niemu przez stół, rzekła poufale:

— Eberhardzie! czy panu już lepiej?

— Co pani mówiła? — spytał Eberhardt przestraszony.

— Pytam, co z panem słychać, kochany Eberhardzie?!

— Pozwoli sobie pani powiedzieć, że ja nie lubię takich poufałości — odparł surowo Eberhardt. — Wprawdzie wilk pani dawałby pani prawo do tego, aby mnie młodego nazywać po imieniu, ale zbyt jesteśmy sobie obcy.

— To rzekłszy zwrócił się do pani Bullmann.

Anastazja została oblana jakby zimną wodą.

Byłaby się rozpłakała najchętniej, zwłaszcza, że wszyscy spoglądali na nią szyderczym wzrokiem.

Człowiek, który przysięgał, że sobie życie odbierze z miłości dla niej, tak nią pogardził! Tak ją zawstydził i upokorzył!

Gdyby nawet popełniła najgorszą zbrodnię, nie zasłużyłaby na gorsze obejście się ze strony najlepszych przyjaciół, jak to, którego doznała.

Cała wina była w tym, że ją obrabowano. Ale właściwa wina leżała dalej. To los mścił się na niej za to, co popełniła przedtem.

Gdy baronowa Wimpfen była złamana i upokorzona, wtedy ona, Anastazja, bez litości groziła jej zdradą i wymusiła u niej pieniądze.

Teraz przyszła Nemezys.

Dziś Anastazja była jeszcze w gorszym położeniu.

W duchowym przygnębieniu, z roztargnieniem tylko słuchała pocieszeń dobrotliwej sąsiadki i skorzystała z tego, że goście wstali od stołu, by przejść do jadalni i wymknęła się.

Nakładając w sieni zarzutkę, słyszała jak pani Linzel w kuchni mówiła do służącej:

— To tylko ci powiadam, to jak mi jeszcze raz tę osobę puścisz do pokoju, to cię wyrzucę. Nie obcuję z żebrakami.

Anastazja wybiegła, jakby rózgami pędzona.

Nazajutrz zbudziła się głodna.

Poprzedniego dnia nie jadła prawie nic.

W spiżarni znalazła bardzo mało. Wszystkie zapasy popsuły się przez czas jej nieobecności.

Zrobiła sobie czarną kawę i zjadła kawał suchej babki.

Potem zastanawiała się, co ma począć ze sobą.

Na Linzlów nie mogła już liczyć. Steingräberowie i Bullmannowie także się u Linzlów bardzo zimno wobec niej znaleźli, tak, że Anastazja nie mogła żywić nadziei na ich pomoc.

Ale miała przecie wielu innych przyjaciół, którzy na pewno mieli więcej serca niż ci Linzlowie i ich goście.

Na przykład Blohmajerowie! Zapraszała ich do siebie na herbatę czasem kilka razy w tygodniu, dawała im bilety do teatru i różne podarki! Oni chyba będą bardziej wdzięczni.

Oni może pożyczą jej na razie trochę pieniędzy.

Ubrała się, by pójść do nich.

Pani Blohmajer przyjęła ją z bardzo dziwną miną.

Podała jej końce palców — przedtem ściskała ją zawsze i obcałowywała — i chłodno raczyła zauważyć, że to wcale ładnie ze strony Anastazji, że się u nich znowu pokazuje.

Zaprosiła ją do salonu, gdzie z wielkim zapałem zaczęła opowiadać o sobie, o mężu i Bóg wie o czym, by tylko nie dać przyjść do słowa gościowi.

Z konieczności jednak musiała raz wreszcie zamilknąć.

Wtedy dopiero Anastazja mogła zapytać:

— Słyszała pani o moim nieszczęściu!

— Ach, prawda! — odpowiedziała serdeczna przyjaciółka. — Słyszeliśmy i żałowaliśmy panią bardzo. Czy widziała pani najnowszą operetkę?

— Nie — odpowiedziała Anastazja — i wątpię, czy ją tak prędko będę mogła oglądnąć. Nie pozwalają na to chwilowo moje stosunki. Wiem, że odzyskam mój majątek, przynajmniej w części, ale tymczasem jestem w bardzo przykrym położeniu.

Chciałam prosić panią, jako najlepszą przyjaciółkę, żeby mi pomogła w tej biedzie. Pożyczenie małej sumy bardzo mnie poratuje. Wiem, że pani mi nie odmówi; pani ze mną przeżyła nie-



Piękna jest wycieczka rowerami w okolice podmiejskich. Na zdjęciu grupa słynnych niemieckich artystów filmowych na szosie pod Berlinem

jedną chwilę wesołą, więc nie opuści mnie pani w godzinie smutku!

Anastazja mówiła to w tonie błagalnym i w gorączkowym pośpiechu.

Pani Blohmajer słuchała jej słów bardzo niespokojnie.

— Boże mój — rzekła wreszcie — jakże mi przykro! Składa się tak fatalnie, że właśnie teraz przychodzi pani z takim żądaniem, kiedy mieliśmy bardzo wielkie wydatki.

Mąż mój sprawił sobie nowe ubranie; było niedawno wesele kuzynki, także kosztowało niemało, a tu dzieci potrzebują wciąż to książki nowe, to trzewiki. Nie, nie możemy pani pomóc mimo najlepszych chęci. Sami byśmy chętnie gdzieś pożyczyli, żeby tylko ktoś chciał dać.

Odpowiedź ta, choć odmowna, była jednak w porównaniu z wczorajszym przyjęciem Anastazji u Linzlów bardzo grzeczna.

To też Anastazja miała nadzieję, że jeszcze uprosi panią Blohmajer.

— Moja złota pani! — rzekła prosząc — to nieporozumienie. Niech pani nie sądzi, że żądam wielkich sum. Ot, kilkanaście do dwudziestu reńskich wybawi mnie z chwilowego kłopotu. Więcej nie żądam! Tyle przecie znajdzie pani dla przyjaciółki, która nigdy nie szczędziła kosztów, by pani zrobić przyjemność.

— Nie wiem dlaczego pani tak bardzo kłuje nas w oczy t raz tymi kilkoma biletami do teatru. Nikt panią o to nie prosił, nie ma się pani czym chwalić i co wymawiać. Ale, że pani już jest taka natrętna, więc zrobię co mogę.

To rzekłszy, wsunęła Anastazji do ręki guldena i wstała na znak, że wizytę uważa za skończoną. Anastazja wstała także i zielona ze złości zawołała:

— To tak!? To tak wygląda ta przyjaźń pani. To jest podziękowanie za dobrodziejstwa, których doznawaliście ode mnie! Nażerać umieliście się u mnie i bawić się moim kosztem, a teraz traktujecie mnie, jak żebraczkę, jałmużną! Wstydziłaby się pani! Oto pieniądze ofiarowane, proszę je zatrzymać i niech pani przekleństwo przyniosą!

Rzuciła jej na ziemię guldena i wybiegła z mieszkania najlepszej przyjaciółki. Na ulicy dopiero zwolniła kroku, klnąc w duchu na wszystko w świecie.

— Nikczemna, nędzna pasożytka! — mruczała półgłosem. — Pasła się u mnie jak świnia, rozpierała się w mojej loży teatralnej, a teraz guldena mi daje! Chciałabym jej się móc odwdzięczyć.

Przechodziła właśnie znowu obok domu, w którym także mieszkała jej przyjaciółka. Spojrzała w okno. Gospodyni stała przy oknie. Anastazja ukłoniła się jej uprzejmie, ale przyjaciółka nie odpowiedziała, tylko jak mogła najprędzej, odsunęła się od okna.

Anastazja mimo to weszła do sieni i zadzwoniła.

Po kilku minutach wyszła służąca i powiedziała, że pani nie ma w domu.

— To niemożliwe — odpowiedziała Anastazja łagodnie — w tej chwili widziałam panią przy oknie!

— Nie, musiała się pani pomylić — odpowiedziała niegrzecznie służąca — bo pani nie ma w domu.

To rzekłszy, zatrzasnęła drzwi.

Anastazja stała przez chwilę jak skamieniała, potem zacisnęła pięści ze złości.

A więc tak obeszli się ze mną moi najlepsi przyjaciele — myślała — niech im Bóg zapłaci, nie pójdę więcej do nich!

Zmęczona wróciła do domu i odpocząwszy trochę i posiliwszy się, wyszła znowu na miasto.

Po pewnym czasie wróciła do domu z przekupniem, któremu ofiarowała na sprzedaż meble i garderobę.

Przekupień, chytry szwab, od razu się spostrzegł, że ona jest w wielkim kłopocie pieniężnym i że sprzeda to wszystko za byle co.

Stawiał więc ceny bezczelnie niskie i po długim targu zapłacił jej wreszcie tak mało, że nawet nie byłaby w stanie zaspokoić tym wierzycieli.

Lecz jej się ani nie śniło płacić długi.

Dała przekupniowi potwierdzenie, że rzeczy należą do niego, sama zaś ukradkiem zawołała sobie ekspresa i pokryjomu wyniosła z nim resztę mienia ze świetnej, a krótkiej przeszłości.

Na przedmieściu wynajęła sobie mały pokoik i tam czekała lepszego losu, lepszej doli.

ROZDZIAŁ CXCI.

Zapóźno

Pani Herbert widziała, że Ida zbyt jest zmęczona, aby mogła natychmiast znowu przedsięwziąć podróż.

W lekkiej sukience musiała się przeziębić, bo była blada jak trup i miała dreszcze.

Dotychczas nic nie mówiła o sobie, ale pani Herbert sama się domyślała, że ta młoda i piękna dziewczyna, także nie jest szczęśliwa.

— Niech się pani położy — prosiła gospodyni księdza, widzę, że pani jest przeziębiona. Może pani to pomoże, gdy zaparzę lipowego kwiatu i bańkę z gorącą wodą każę pani włożyć do łóżka.

— Winna polewka byłaby lepszą, niż kwiat lipowy, wtrąciła pani Herbert.

Ida dziękowała za wszystko, ale gospodyni, która z prawdziwą pasją pielęgnowała chorych, wpakowała ją jak dziecko do łóżka i sporządziła jej leki i przygotowała bańkę.

— Niech mi pani powie, które potrawy pani lubi najlepiej, a zgotuje je pani wszystkie po porządku.

— Dziękuję pani bardzo — broniła się Ida — ale dziś w nocy muszę wracać do Wiednia.

Na te słowa stara panna oburzyła się.

— Nie ma mowy o tym — zawołała — pani musi tu zostać.

Pani Herbert potakiwała temu.

— To byłby grzech wysyłać panią taką zaziębioną, mówiła pani Herbert, gładząc jej włosy. Zresztą nie ma pani poco drugi raz odbywać tę samą podróż. Weźmiemy w Wiedniu kilku policjantów i Sylwię uwolnimy przemocą.

— O, nie! Tego proszę nie robić! — błagała Ida — pani nie zna dyrektora Silasa. On ją wyda dobrowolnie, on jest dobrym człowiekiem! Mówiłam pani już, że on sam padł ofiarą mistyfikacyj jakiegoś oszusta.

Niech mu pani powie, że pani chce mówić z panienką, wprowadzoną do sanatorium pod nazwiskiem Cohen, a on panią zaraz zaprowadzi do Sylwii. Dyrektor uwierzy, że pani jesteś jej matką i puści was obie.

— Ej, kto wie, czy się pani nie myli — rzekła na to Herbertowa — kto wie, czy on mnie z księdzem nie przymknie tam w domu wariatów na wieki.

— Nie! Zanadto jest uczciwy! — odpowiedziała Ida poważnie — przysięgam pani, że to godny, zacny człowiek. Sylwia w całym zakładzie nie ma wrogów, tylko jedna dama, która tam zarządza, jest jej nieprzychylna. Na szczęście, nic może ona robić tam tego, co jej się podoba, tylko chyba pokryjomu. A dyrektor jest z całą pewnością uczciwy, i nie rób mu pani tej przykrości, by używać policji.

— Pani jest wymownym adwokatem — odpowiedziała pani Herbert — posłucham panią. Ale, jeżeli nie wrócimy, co wtedy?

— Przyjadę panią uwolnić — zawołała Ida — zaś powiem pani szczerze, dlaczego tu wolę zostać; nie mogę się pokazywać w Wiedniu, bo uciekłam z domu mego opiekuna.

Opowiedziała w krótkości dzieje swego życia, a obie panie słuchały jej z uwagą.

— A, to nie wolno pani tam wracać! — zawołały równocześnie, gdy Ida skończyła. — Nie trzeba się pchać diabłu w paszczę.

— I ja się też sama boję — przyznała się młoda dziewczyna — a Silas sam podejrzewa tego Ismara Cohena o oszustwo względem Sylwii, bo najlepszy dowód, że posłał do niego na zwiady swego asystenta.

Ten wrócił z odpowiedzią, że on oddawszy wnuczkę do sanatorium, wy-

jechał w podróż. Widzi pani, jak ten łotr się chytrze urządził.

— O, ten nasz baron, to łotr przebiegły i wyrafinowany! — zawołała oburzona pani Herbert.

— Ależ pani kochana! — zawołała trwożnie panna Albertyna, gospodyni księdza. — Jak pani może przypuszczać. Przecież baron taki przystojny i elegancki! To niemożliwe, żeby taki wykwintny kawaler był złym człowiekiem. To nieładnie z jego strony, że on tak podejrzewa pana Herberta, ale go z pewnością namówili do tego źli ludzie. Niech pani wybaczy, że on tak niesprawiedliwie podejrzewa męża pani, ale do zbrodni on jest niezdolny.

Pani Herbert umilkła, ale widać było po niej, że słowa pani Albertyny przeszły bez wrażenia.

Dzień minął szybko, a wieczorem odjechała pani Herbert z księdzem proboszczem, odebrawszy od Idy przyrzeczenie, że na probostwie będzie czekać ich powrotu.

— — — — — — — — — —

Tymczasem pani Willemer nie próżnowała.

Już od początku złościła się z powodu przyjaźni Sylwii z Idą i gdyby mogła, byłaby im uniemożliwiła wszelkie porozumiewanie się. Ale, że dyrektor wyraźnie na to pozwolił, nie mogła nic zrobić.

Gdy wieczorem stangret wrócił z Wiednia, kazała go zawołać do siebie.

— Czegoś bawił tak długo? — ofuknęła go. — A szwaczkę dokąd odwiozłeś — spytała następnie, gdyż wydało się jej podejrzanym, że Sylwia nie smuciła się wcale z powodu odjazdu Idy. Przypuszczała, że obie ułożyły jakiś plan ucieczki.

Na co jej wszystko wiedzieć — myślał sobie stangret, zły na Willemerkę — nie powiem jej prawdy.

— Zawiozłem ją do mieszkania panny Jetki — rzekł głośno — bardzo się tam cieszyli, że wróciła. Ze wszystkich drzwi wylatywali ludzie i witali ją z taką radością, jakby zmartwychwstała. Panna Jetka także się cieszyła.

— Nie pytam się ciebie o to — odcięła mu pani Willemer — wszystko mi jedno, jak szwaczka taka została powitana.

— Myślałam, że pani chce wiedzieć i interesuje się tym — odrzekł stangret, ale ona przerwała mu:

— Zaprzęgaj natychmiast znowu. Muszę jechać do Wiednia.

Jeżeli ona jeszcze tam jest — myślała — wtedy omyliłam się. Widocznym będzie, że ona jest za leniwa, by dopomóc przyjaciółce. Ale jeżeli jej nie ma, to musiała pojechać do rodziców Sylwii, a w takim razie muszę zawiadomić Cohena, że mu już grozi niebezpieczeństwo.

— Dopierom wrócił, znowu jechać? — mruknął stangret niezadowolony.

— Zaprzęgać masz, słyszałeś? — zawołała Willemerka, a oczy jej zapłonęły gniewem.

Stangret musiał usłuchać, i niebawem Willemerka otulona w kosztowne futro jechała do Wiednia.

Przybyła tam podwieczór, około ósmej.

Kazała zajechać do hotelu, w którym Silas zawsze stawał i stamtąd pieszo poszła do najbliższej stacji dorożek.

Stangret zobaczył to jenak i pomyślał sobie:

Ona się z czymś kryje przede mną. Co mnie to obchodzi, gdzie ona się wy-



Ostatnia droga głośnej artystki filmowej Adeli Sandrock.

biera! Mnie to zupełnie wszystko jedno!

Pani Willemer pojechała do Jetki.

Stara szwaczka dzisiaj wcześniej wróciła z roboty, i przyjęła dumną panią ze zdziwieniem i nieśmiałością.

— Przepraszam panią bardzo — rzekła trwożnie — może Idzie coś złego się stało?

— To pani lepiej powinna wiedzieć! — burknęła w odpowiedzi pani Willemer — bo ona dziś wróciła do pani.

— To musiała wrócić w czasie mojej nieobecności — rzekła Jetka — a czy pani była z niej zadowolona? — pytała dalej nieśmiało.

— Nie chcę się uskarżać — odrzekła Willemerka twardo — ale niechno się pani spyta sąsiadów, czy nie widzieli Idy wracającej.

Rozkaz ten Jetka wykonała natychmiast i wróciła z odpowiedzią, że nikt w całym domu Idy nie widział.

A więc stangret jest z nimi w zmowie, okłamał mnie — pomyślała Willemerka, zaciskając zęby i pięści ze złości i przysięgając mu w duchu zemstę.

Pojechała do ekspedycji jednej z gazet, ale tam było już zamknięte.

Nie tracąc czasu udała się do drukarni, ale i tu nie chciano już przyjąć ogłoszenia do najbliższego numeru gazety, i nie pomógł nawet napiwek, który wsunęła w rękę pomocnikowi zecera.

Zła i rozgniewana wyjęła notes z kieszeni, wydarła kartkę i napisała zmienionym pismem:

„Ismar Cohen! Niebezpieczeństwo grozi!“

— To cały mój anons! — rzekła podchlebiając — tyle miejsca przecie się znajdzie!

— Nie mogę, odparł zecer — możemy najprędzej umieścić to w numerze pojutrzejszym.

Mówał tak stanowczo, że straciła nadzieję i zgodziła się na zwłokę.

Zapłaciła inserat i wyszła zła sto diabłów.

W hotelu czekała cierpliwie, aż jej zameldowano, że konie czekają i wróciła do domu.

Niepotrzebnie się zresztą tak irytuję, pomyślała. Jeżeli ona pojedzie do nas, to Silas prędko o niej zapomni. Mężczyźni są niestali. On już, byłby mi się oświadczył, gdyby nie to, że ona nadjechała! Może teraz po jej odjeździe będę bliżej celu.

Nie mogła się jednak uspokoić.

Nie mogła przenieść tego na sobie, żeby Sylwia za jej pomocą odzyskała wolność. Obawiała się, że Silas gotów się Sylwii oświadczyć na pożegnanie, i że ona go przyjmie. Sama bowiem zakochana w nim namiętnie, wyobrażała sobie, że każda kobieta musi się w nim kochać.

Lepiej by było — pomyślała — żeby ją znowu zabrał Cohen i skrył gdzieindziej; on jest chytry i schowa ją tak, że nie znajdzie jej ani Silas, ani nikt inny. Szkoda, że nie znam jego adresu. Napisałabym mu wprost! Ogłoszenia w gazecie może on nie zauważyć, albo za późno. No, ale nie mogę nic więcej zrobić, ponad to co zrobiłam.

Resztę pozostawiam losowi.

Filozofia ta nie uspokajała jej jednak.

Nie mogła spać i nazajutrz wyglądała taka niewyspana, że musiała użyć Bóg wie jakich kosmetyków, zanim wyszła do śniadania.

Nazajutrz oczekiwała biegu wypadków z niecierpliwością i liczyła w myśli.

„Przybycie do Petershofu o godzinie 9-tej wieczorem Herbertowie, telegraficznie uwiadomieni musieli ją oczekiwać na dworcu, o północy wybrali się do Wiednia, a dziś przed obiadem będą tu.“

Wieczorem, gdy cały dzień minął bez zajścia — uspokoiła się trochę.

„Ona się może dobrze gdzieś bawi, ta Ida, i ani jej w myśli jechać do Königswalden — myślała sobie. — Szkoda było mego trudu.

Tej nocy spała wyśmienicie, nie przeczuwając, że Herbertowa z księdzem właśnie są w drodze do Wiednia.

Sylwia oczekiwała i dopiero na drugi dzień po odjeździe Idy, około 10-tej stała przy oknie i patrzyła z tęsknotą na drogę, gdy zobaczyła na drodze zbliżające się do zakładu sanie.

Serce jej zabiło.

— Szarlotto! — rzekła do swej dozorczyni — proszę ze mną pójść trochę do ogrodu, bo mi tu duszno.

— Proszę bardzo — odpowiedziała dozorczyni, która lubiła Sylwię za to, że była dla niej zawsze grzeczna.



29-letnia babcia z maleńkim wnuczkiem na ręku. Obok stoi szczęśliwa matką.

Poszły do ogrodu.

Przed zakładem zatrzymały się sanie.

Wysiadł z nich jakiś mężczyzna, widocznie w sutannie i damie jakiejś pomagał wysiąść.

— Mamo! Mamo! — zawołała Sylwia otwierając ramiona na przywitanie przybyłej.

— Sylwia! — zawołała staruszka z nieopisaną radością, mam cię nareszcie znowu! Dziecko moje najdroższe! ile łez wylaliśmy za tobą.

Szarlotta nie była tym zdziwiona, bo i ona jak i wszystkie inne dozorczynie była przekonaną, że Sylwia jest całkiem zdrowa i padła tylko ofiarą jakiejś intrygi

— Niech mama dzwoni, prosiła Sylwia.

Pani Herbert zadzwoniła silnie.

— Otwieraj pan! — zawołała Sylwia do przybiegającego portiera — ta pani, to moja matka.

Portier otworzył, kobiety teraz dopiero mogły się przywitać.

Ale teraz ten łotr, który ciebie więził odpowie mi za to! — zawołała pani Herbert — moglibyśmy cię zabrać na sanie i pojechać; ale nie chcemy cię wykradać. Muszę temu człowiekowi powiedzieć, jak go nienawidzę, bo wściekłość udusi mnie!

— Barona tu nie ma mamusiu — powiedziała Sylwia — a to tylko on temu wszystkiemu winien.

— On uknuł plan, ale Silas go wykonał — zawołała pani Herbert — obaj zasługują na jednaką karę.

— Ach nie mamusiu — odrzekła Sylwia łagodnie — on był dla mnie bardzo dobry. To człowiek honorowy. Jego samego oszukano. Przez czas pobytu mego tu, nauczyłam się go szanować.

— Być może zresztą, że się mylę — zgodziła się już pani Herbert, a ksiądz dogadywał jej także, aż się zupełnie udobruchała.

— Proszę mi wybaczyć ojcze duchowny — rzekła łagodnie — ale jestem tym nieszczęściem całkiem złamana i rozgoryczona. Jestem jednak chrześcijanką — zapominam i przebaczam.

— Czego taty nie ma, może chory? — zapytała teraz Sylwia niespokojna.

— Tak jest, nie zdrów trochę — odpowiedziała Herbertowa nie chcąc radości powitania mącić smutniejszą o wiele prawdą — ale to nic poważnego. Zaprowadź mnie do dyrektora zakładu.

W sieni spotkali Silasa, który już z okna ze zdumieniem przypatrywał się scenie przywitania.

Gdy go teraz pani Herbert zobaczyła, zapomniała o całej swojej chrześcijańskiej wierze, i cała boleść z powodu nieszczęść cała bezsilną wściekłość przeciw niewidzialnemu wrogowi, chciała wylać teraz na Silasa, któryby jej wiele mógł oszczędzić, gdyby nie był tak ślepo wierzył w to, co mu mówiono.

— Widzę, że pani ma gości — rzekł doktór uprzejmie do Sylwii — cieszy mnie to, że pani wreszcie widzi kogoś, którego widok panią raduje.

— Ona mogłaby była już dawno nas tu zobaczyć — odpowiedziała pani Herbert — a gdyby nas pan był powiadomił o tym, że córka moja tu się znajduje...

— Córka? — zdziwił się Silas. — Pan Cohen mówił najwyraźniej, że jego wnuczka nie ma już rodziców, ani ojca, ani matki. Coby go mogło skłonić do tego, żeby mi mówić nieprawdę?

— Ten jakiś Cohen jest łotr i oszust, który wymyślił Bóg wie co, aby nam porwać córkę, zawołała jednym tchem pani Herbert, to ostatni szubrawiec i nikczemnik, a wy mu pomagacie. Zabraliście nam jedyne nasze dziecko, całe nasze szczęście! Odpowiecie mi za to! Zatrzymaliście gwałtem osobę o zdrowych zmysłach w zakładzie dla obłąkanych, a to jest zbrodnia, którą ustawa ciężko karze.

Wzburzona mówiła tak głośno, że słychać ją było we wszystkich pokojach obok korytarza.

Otworzyły się drzwi i pani Willemer, jak zawsze wystrojona na ostatni guzik, jednym rzutem oka objęła całą sytuację.

Udała jednak, że nie wie, o co chodzi.

— Może państwo pozwolą bliżej rzekła zapraszając — cieszy mnie, że panna Cohen ma gości. Martwiliśmy się, że ją tak rodzina zaniedbuje.

— Tak jest! z pewnością pani spędzała z tej przyczyny bezsenne noce! Wierzę, szydziła gorzko pani Herbert — ale obawiam się, że Sylwia teraz dopiero panią zacznie przyprawiać o bezsenne noce.

— Jak to pani rozumie? — zapytała blednąc Willemerka.

— A co pani myśli? — zawołała Herbertowa — że ja wam teraz będę dziękować za pielęgnowanie córki i cichutko, spokojnie zabiorę ją sobie do domu i nic więcej? O, nie! Ja natychmiast zaczynam proces o porwanie mi córki przeciwko sprawcy mego nieszczęścia i jego godnym towarzyszom.

Doktor Silas zbladł śmiertelnie.

— Pani mnie ma za łotra, który dla pieniędzy popełnił podłość? — spytał.

— Tak jest! — zawołała gniewnie pani Herbert — bo nie trzeba jej było tu tak długo trzymać!

— Czy i pani jest tego samego zdania? — zapytał Silas Sylwii.

— Nie! — odpowiedziała uroczyście — wiem, że pan jesteś człowiekiem honoru, i że temu łotrowi udało się przekonać pana, że ja w istocie jestem chora na umyśle.

— Dziękuję pani — rzekł doktor wzruszony — byłbym zrozpaczony, gdyby pani mną pogardzała.

Rozmawiając weszli do pokoju.

Pani Willemer ostrożnie zamknęła drzwi służbie przed nosem i teraz zręcznie wtrąciła się do rozmowy.

— Proszę pani — rzekła do Herbertowej — ten Cohen wszystkich nas oszukał. Kilka miesięcy temu przybył tu bardzo przygnębiony, oglądał sanatorium i pytał się, czy jest miejsce wolne.

Gdym powiedziała, że jest, opowiedział mi ze łzami w oczach, że jego wnuczka jest chora, że musi ją umieścić w sanatorium, że oglądał już kilka zakładów, ale nasz najlepiej mu się podoba i że ją nam przywiezie.

Naturalnie nic nie mieliśmy przeciwko temu, zwłaszcza, że przedłożył nam świadectwo dwu znanych psychiatrów, że wnuczka jego jest chora i powinna być umieszczona w zakładzie.

— Proszę mi pokazać to świadectwo! — zawołała gwałtownie pani Herbert — ja pokażę tym lekarzom, co to znaczy nieszczęśliwe dziecko pozbawiać wolności!

— Szukałem już tego świadectwa — rzekł dyrektor — ale nie mogłem go znaleźć; znalazłem tylko kawał białego papieru w tej kopercie.

— Ono mogło być napisane chemicznym atramentem, takim, który po pewnym czasie ulatnia się z papieru — zauważyła pani Willemer.

Mówiła dalej, że dawno już podejrzewała coś podobnego, ale nie miała odwagi mówić o tym dyrektorowi.

— Pani zna adres tego Cohena — rzekł Silas — spodziewam się, że państwo nie odmówicie mi, jeżeli was poproszę, abyście mi towarzyszyli do tego pana. Może już wrócił z podróży! Niech teraz się wytłumaczy! On tę damę przedstawiał jako swoją wnuczkę.

— Pan tak samo jest oszukany, jak my! — rzekła serdecznie Sylwia podając mu rękę. — Jeżeli na pana kiedyś się gniewałam, to uczucie to dawno już ustąpiło miejsca szacunkowi. Od dziś zawsze będę pamiętać o dobroci pana. Pan jest szlachetny człowiek i właśnie dlatego oszukali pana tym łatwwiej.

Dyrektor milcząc ucałował jej rękę, a pani Willemer widząc to, pękała z zazdrości.

Ksiądz proboszcz, który dotychczas zachowywał się biernie, przedstawił się teraz zupełnie formalnie doktorowi i rzekł:

— Przybyłem tu z panią Herbert, by stwierdzić identyczność jej i jej córki. Panna Herbert wzrosła pod moim okiem. Rodzice jej przybyli do Königs-

Ciąg dalszy na stronie 777.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

SMUTEK JESIENI

Na sine góry, na czarne lasy
Kładzie się mgła jesienna,
Lasów urodę i szczytów krasy
Jesień spowiła senna.
—o—
Już nie bieleje pośród zieleni
Czereśni białe kwiecie
I złota grusza się nie rumieni
Jak w przeszłym lecie.
—o—
Niebo się w chmury sine okryło:
Błękit nie błyszczy już,
Wiatr nie kołysze swą wielką siłą
Czerwonych maków wśród zbóż
—o—
Stubarwny motyl słodkich nektarów
Nie sączy z białych bzów:
Już koniec lata, wiosennych czarów,
Zima nadchodzi znów.
—o—
Już szron się bieli na żółtej łące
I suche srebrzy badyle;
Latem tu było maków tysiące
I żółtych kaczeńcy tyle!...
—o—
Minęły jasne, słoneczne chwile —
Chwytać je trzeba przemocą,
Bo umierają tak, jak motyle
Jasną, pogodną nocą.

Halina Turkówna.

POSTARAM SIĘ

„Vistula culmensis". Owszem, zainteresował mnie list Pana i postaram się wprowadzić w czyn jego rady. Przyjemnie było mi stwierdzić, że tak przychylnie ustosunkował się Pan do naszego pisma.

Co do sprawy odcinków powieściowych, to niestety nie da się załatwić, ale może Pan przecież składać całe numery „Moich Powieści" — zapewniam Pana, że rocznik wypada bardzo ciekawie i wcale imponująco. A doprawdy przyjemnie jest czasem przerzucić numery pism ilustrowanych, gdyż jakkolwiek już nieaktualne, zawsze dają dużo miłych chwil choćby przez przypomnienie tego, co już minęło i nie powróci, a jednak jest piękne.

Ja np. mam wszystkie roczniki naszych pism elegancko oprawione i często w chwili wolnej przeglądam je sobie, myślą powracając do tamtych dni, w których tak samo, jak w tej chwili siedziałam przy biurku i pisałam tak samo szczerze i bezpośrednio do moich „Krainiaków". Słowa i sprawy były inne, lecz myśl przewodnia i dążenia te same. Zawsze pragnęło się pomóc słabym, ulżyć cierpiącym i podzielić radość zadowolonych.

Cieszy mnie również niewymownie, że abonenci „Moich Powieści" w Pana okręgu interesują się szerzej tym pismem i dyskutują na jego temat. Dla mnie to wielka radość, może mi Pan wierzyć.

Sprawę dosłania dodatkowo dwóch egzemplarzy „Moich Powieści" załatwiłam w naszej administracji. Artykuł z 36 r. o modzie męskiej powtórzę na życzenie.

Za słowa uznania dziękuję i pozdrawiam P. bardzo serdecznie.

LUBIĘ TO...

„Miluś II". Słusznie Pan się domyśla, dlaczego pominęłam milczeniem niektóre kwestie poruszone przez Pana. Jest Pan, jak widzę, bardzo rozumnym i łatwo się orientującym człowiekiem. Lubię to — zwłaszcza u mężczyzn.

Ciekawi mnie, czy zawarł Pan już żywy kontakt z „Krainiakami" i czy jesteś zadowolony? Chciałam Panu nadmienić, że korespondowanie za pomocą poste — restante jest moim zdaniem bardzo utrudnione i poniekąd niepewne. Niech się n. p. zdarzy, że wyjedziesz — jak to już miało u Pana miejsce — lub zachorujesz, to listów, niechby nie wiem jak ciekawe i pilne były, nie masz sposobności odebrać. Poleżą przez dłuższy czas w skrytce pocztowej, aby wreszcie ulec wspólnemu losowi wszelkich niedoręczalnych przesyłek, to jest zalegać niezliczone półki pocztowe w urzędzie niedoręczalnych przesyłek. A mogły zupełnie inaczej wypełnić swoje zadania — nie sądzisz?

PRZYJMUJĘ

„Sportsmenka z Kujaw". Przyjmuję Panią do „Krainki" i proszę zaklimatyzować się w niej szybko i dobrze. Ja życzę Pani pomyślności w korespondencji, a przede wszystkim śpieszę przedstawić Cię „Rodzince".

Nasza nowa koleżanka — siostrzyczka ma lat 22, jest wesołą blondynką o dużych szaro—zielonych oczach. Namiętnie uprawia sport i lubi bardzo taniec i muzykę.

Głównie pragnie nawiązać korespondencję z „Krainiakami" tych samych zainteresowań.

Poza tym prosi o listy „Edka z Gdyni", „Rybaka z Helu", „Marzyciela z nad Noteci", „Renię z Kujaw", „Milusia II.", zaś „Jednego z Kujaw" specjalnie prosi o zainteresowanie się jej osobą, gdyż mieszkają blisko siebie. A może się Państwo znacie?

Wszystkich „Krainiaków" pozdrawia i śle im wesołe „pa!".

Adres jej: poste - restante Janikowo, pow. Ino dla „Sportsmenki z Kujaw".

Pozdrawiam Panią serdecznie i życzę miłej korespondencji.

NIE RADZĘ!

Helena J. Nie radzę Pani angażować się zbytnio w całej tej sprawie. Jeżeli zdecydujesz się wyjść za tego pana i pokochasz go, to owszem, ale jeżeli nie, to nie łudź go niepotrzebnie. On przeobraża się tylko dla Ciebie, za przyczyną swej wielkiej miłości, a niech się na Tobie zawiedzie — straci wszelki grunt pod nogami i stanie się jednym z ludzi przedwcześnie skończonych, jeżeli z rozpaczy nie popełni jakiegoś szaleństwa.

To jest sprawa poważna, Moje Dziecko, — dobrze się zastanów, abyś nie była przyczyną nieszczęścia. Nawracaj i kochaj, ale nie waż się, nie kochając, nawracać. To niepewna gra. Częściej niebezpieczna, jak skuteczna. Postaraj się pokochać tego człowieka, bo zdaje się, że jest tego godny, skoro potrafi dla Ciebie zmieniać się tak gruntownie.

Pragnę, abyś bardzo poważnie wzięła moją radę. Napisz mi, jak postąpisz.

Wiersze oddałam do Teczki Wujka Janusza. Pozdrawiam serdecznie!

TRZYM SIĘ WIATRU...

„Mi" poświęcam.

Trzym się wiatru co siły,
nie daj się, człeku miły,
smijej się nawet wśród trudów i znoju.
Bo nie ten walczy w życiu,
co się martwi w ukryciu,
lecz co śmiało nadstawia pierś w boju.

Taką radę mi dała
przed tygodniem „Mi" mała,
każąc wierzyć w szczęśliwe dni nowe.
Ja dla niej mam szacunek,
zrzucam z serca frasunek
i do góry podnoszę znów głowę.

Ale nie wiem, czy mogę
wkraczać znowu na drogę,
by tam szukać szczęścia i radości.
Bo mnie się tak wydaje,
ze szczęście raz nam daje
wszelkie w życiu szanse — możliwości.

Ja te szanse już miałem,
mój bój w życiu przegrałem
i dziś smutek mam w sercu mym stale.
Dlatego to, „Mi" mała,
na cóż się rada zdała,
gdy wykonać nie można jej wcale?

Lecz chcę wierzyć twą wiarą,
nie wątpić żadną miarą,
a przebojem iść naprzód, przed siebie...
Może wtedy na ziemi
dola się zła odmieni,
a gdy nie tu, to... chociaż tam — w niebie.

Adam Czekalski.

NIE PIERWSZY RAZ

I jesień znów nadchodzi...
Tak mija czas...
W złocistych liści powodzi
Wzrok zamyślony brodzi
Nie pierwszy raz...

I oto czarne konary
Odarte z wiosennych kras...
Smętne się wloką opary
Ponad topiele i moczary
...Nie pierwszy raz.

Kwiatów zniknęły kobierce
I radość z nimi wraz.
I żar już zagasł w iskierce
I smutne znów moje serce
Nie pierwszy raz...

Deszcz wciąż pada na dworze —
Rozpacza któreś z nas:
Krzywdy doznało może?...
...Tak smutno jest, mój Boże...
...Nie pierwszy raz.

Halina Turkówna.

DOBRZE

„Dajne". Dobrze — postaram się zapoznać Panią z jednostką wartościową, gdyż godzę się z twierdzeniem Pani, że człowiekowi trzeba nie czuć się zapomnianym — samym wśród ruchliwego, rozgadanego, a przecież obojętnego tłumu. Człowiek pragnie participować w zagadnieniach poruszanych przez ludzi nieprzeciętnych i pragnie także, jeżeli nie przede wszystkim — czuć czyjąś serdeczność, sympatię i troskliwość. To takie wszak zrozumiałe i jasne.

Niech Pani postara się zaprzyjaźnić z „Białą Uajali", „Czarnym Hajduczkiem", czy „Zuch — Dziewczyną" — znam je od dawna i wiem, że są bardzo szlachetnymi typami kobiety.

Z panów znam lepiej „Lawrence'a", „Te — Em'a", „Erosa", „Wirryta". Wielu innych „Krainiaków" obu rodzajów mogłabym jeszcze wymienić, lecz nie ma tu miejsca na to. Zresztą — w miarę wpływających listów będziesz się mogła orientować w typach i charakterach swych rozmówców i wybrać bardziej sobie odpowiadające.

Aha! Proszę Panią o nadesłanie swego adresu. A teraz pozdrawiam serdecznie.

JEŻELI JEDNAK...

„Paproć Pom." Z przyjemnością przychylam się do prośby Pani, przyjmując ją do grona „Rodzinki". Dziękuję Ci za słowa zaufania skierowane do mnie, sądzę, że Cię nie zawiodę. Polecam Cię niniejszym pamięci „Krainiaków", gdyż czuję, iż warto to uczynić. Jesteś skromną, zrównoważoną Dziewczynką, która nie goni za blagą blichtru, lecz mądrze i niezwykle ujmująco, właśnie przez swą prostotę, bierze życie i ludzi — niech się tak wyrażę — w ręce.

Przecież takie jedno twoje zdanie o sobie samej może zjednać dla Ciebie większą sympatię, niż dużo błyskotliwych a pustych, wypisywanych przez osoby szczęśliwe i efektowne zewnętrznie, zaś w głębi puste i niewartościowe:

„Obieram sobie pseudonim „Paproć Pom." To wszystko, co napisać mogę o sobie. Jestem bowiem taka, jak mój, pseudonim — nie różniąca się od tych krzewów w lesie gęsto, najgęściej usianych. Taka sobie dziewczynka przeciętna i absolutnie nie inna od tych z tłumu. Jeżeli jednak chwyci mnie w swe szpony „zima", czy opromieni „wiosna" — tylko P. o tym mówić będę".

Wierszyki Pani, Drogie Dziecko, dałam Wujkowi Januszowi do oceny.

Sądzę, że szybko zaprzyjaźnisz się z „Krainiakami", gdyż osoby podobne Tobie szybko zjednują sobie życzliwość, a nawet miłość.

Napiszesz mi, gdy Ci radość sprawią moje dziateczki z „Krainki" — dobrze?

A teraz pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i przesyłam Ci tkliwy uśmiech.

PISZ DO MNIE

„Irce — Bajce".

Kiedy ci będzie na duszy smutno,
to napisz do mnie, Irciu,
a ja ci na to odpowiem może,
że szkoda łez jest w życiu.

Kiedy się szczęściem znów opromienisz,
szczęściem ogromnym, jasnym —
pisz do mnie także, będę się cieszył
szczęściem twym wielkim, własnym.

I nie wierz wcale w te pierwsze słowa,
że pisać... ech! „nie warto!"
Bo każdy człowiek po kres wędrówki
bardzo ciekawą jest kartą.

Pisz do mnie, proszę, o swoim życiu —
choć w listach zostań ze mną.
I dobrym słowem, jasnym uśmiechem
rozpłomień dolę ciemną.

A ja cię wtedy wezmę za rękę —
powiodę w kraj wyśniony,
rozsnuję słowa w rapsod cudowny,
jak boskiej arfy tony.

Dlatego proszę: pisz do mnie, Irko,
pisz do mnie zaraz, na pewno...
I zostań dla mnie, choćby w snach tylko,
w snach szczęścia śnioną królewną.

Adam Czekalski.

OCEŃCIE

„Malutka". Słuchajcie proszę, Drodzy „Krainiacy" i sami oceńcie, czy nie przybywa Wam ogromnie wartościowa siostrzyczka:

„Najpierw napiszę coś o sobie. Niech to będzie ekwiwalentem oficjalnej prezentacji. Jestem 24-letnią filigranową „Kujawianką", którą fala życia rzuciła aż na dalekie Pomorze w odległości 6 km. od granicy niemieckiej.

Kocham ludzi, świat i życie. Kocham piękno w każdej formie; w sztuce i w przyrodzie. Nie posiadam wprawdzie zdolności twórczych, ani artystycznych — jestem jednak ogromnie wrażliwą na piękno poezji, malarstwa, muzyki. Usposobienie mam pogodne, z ufnością patrzę w przyszłość. Miałam i ja co prawda swoje czarne dni, kiedy musiałam zostawić moich najbliższych przyjaciół, moje rodzinne miasto, by w obce udać się strony. Kiedy po dwóch latach musiałam przerwać studia literatury, które tak umiłowałam. Nieraz w duszy coś zadrgało, zbuntowało się — lecz wtedy uniosłam wyżej głowę i powiedziałam sobie, że innych los smaga jeszcze gorzej, że nie pomogą próżne żale, że wszędzie na każdym posterunku można zrobić dużo dobrego i — uśmiech i pogoda znów zagościły na twarzy i w sercu.

Chociaż jestem dzieckiem miasta — dobrze mi tu na wsi, a z pracy jestem zadowoloną. Gdy nieraz w duszy mej obudzi się żal za zniweczonymi marzeniami, wtedy spoglądam przez okno na park. Ogromne świerki, stuletnie dęby, cudne brzozy szumią cicho we wzajemnej pogawędce.

Ten cichy szept drzew dziwnie koi i uspakaja. Zdaje mi się, że mówi: nie martw się, nie w twej mocy zmienić bieg życia. Ale Ty możesz życie sobie i innym uczynić znośniejszym, jeżeli pogodnie znosić będziesz ciosy, jeżeli ukochasz ludzi, zrozumiesz ich i niesć im będziesz radość.

I uśmiecham się wówczas i mówię, że świat jest piękny, że dobry Bóg daje mi tyle! Daje życie, pracę i piękno. Mogłabym być jeszcze niezadowoloną?

Pracuję więc z zapałem i uczę moje otoczenie pogodnie patrzeć przed siebie, uczę kochać ludzi, rozumieć ich. Tłumaczę, jak współżyć z ludźmi i uśmiecham się do ludzi i kwiatów i słońca.

Papier się kończy, więc i ja już kończyć muszę. Zanim jednak skończę złożę Pani Zofii serdeczne podziękowanie na Jej siostrzane, serdeczne uczucia, jakie masz dla wszystkich „Krainiaków". Za Jej dobre rady i wszystkie słowa otuchy i pociechy — których nigdy nie skąpisz.

A ponadto poproszę bardzo o umieszczenie moich komunikatów:

„Rozkosznej Dziewczynce II" wiele serdeczności. „Białej Uajali", której wiersze pełne uczucia tak chętnie czytam — ślę moc pozdrowień, jak również „Małej Konwalijce", „Czarnemu Hajduczkowi", „Kochaniu" i „Blance" oraz zapewnienie, że listami Swymi sprawiły by mi ogromną radość. Panu Baranowskiemu za Jego śliczne, subtelne wierszyki — wyrazy uznania. Dla „Te - Em'a", „Stepowego Płomienia" i „Zrównoważonego Jasia" moc pozdrowień. — „Białemu Zwidowi" ślę słoneczny uśmiech i dobre spojrzenie. Chciałabym bardzo przesłać Panu dużo ciepłych i serdecznych słów — lecz boję się odpowiedzi „nie warto".

CHOCIAŻ NIE DLA MNIE TWE SŁOWA

Panu Adamowi Czekalskiemu w dowód sympatii —

Czytałam kiedyś Twój wierszyk —
(Chociaż nie dla mnie Twe słowa)
Lecz czemu on w swoich strofach
Najserdeczniejsze łzy chowa? —

Czemu Ci w duszy łka smutek,
Miast cudnej piosnki radości —
Czemu w głębinach Twej duszy
Tęsknica dziwna gości? —

Twe piękne słowa z oddali....
(Chociaż nie do mnie pisane)
Zbudziły echo w mej duszy,
Trąciły struny stargane...

Bo... mogła bym również powiedzieć,
Że: do mnie pisać nie warto! —
Żem, przecież tak nieciekawą,
Lecz — niezapisaną kartą! —

Że... również pragnę samotna...
Pójść w życie — osobną drogą,
Że, serca inne — najdroższe
Złączyć się z moim — nie mogą!

Żem, pogrzebała marzenia...
Co złudą były chwili...
Że... w duszy mej zbłąkanej,
Tęsknota dziwna kwili...

Więc — jeśli słowa me smutne,
W Twej duszy obudzą echo...
Prześlij mi znak zrozumienia,
Będzie on moją pociechą.

A może... drogi się nasze,
Spotkają, kędyś wśród świata —
Wtenczas, opowiem Ci bajkę:
O szczęściu, słońcu i... kwiatach.

Kaja Purollówna.

Tekacz Wujka Janusza

BĘDĘ SMUTNY...

„Blanka". Wierszyk „I znów" wcale słaby — nie wiem, czym to tłumaczyć. Przecież pisała Pani już dużo lepsze. Proszę postarać się szybko wrócić do formy, bo będę smutny, ba, niepocieszony!

Nie lubię dużo „mruczeć", lecz dziś musiałem z prostej uwagi o Twoje dobro.

Czekam na nowy komplet wierszy i całuję rączki!

JESTEM WZRUSZONY

„Lawrence". Dziękuję Panu za pamięć. Wzruszony nią jestem. Ja również żałuję, że nie było mnie w czasie pobytu Pana w Żninie — cóż, człowiek musi także skorzystać z dobrodziejstwa wakacyj, zwłaszcza jeżeli chce pracować wydajnie przez długie dni i miesiące całego roku. Zresztą, to jeszcze nic straconego. Ma Pan tu krewnych, więc jest pewność, że przyjedziesz tu znowu i chyba nas odwiedzisz.

Na razie myślę o przyobiecanym długim liście — jesień już nadeszła.

Przyjm moje pozdrowienia i pisz!

DO CIEBIE

Dziś tak samo księżyc świeci,
Mgła otula ziemię,
Moja dusza hen — gdzieś leci,
Daleko! — Do ciebie.

Ach bo ja chcę chociaż duchem
Być przy tobie blisko,
Wypowiedzieć szczerym słowem
Ból i żal i wszystko.

Czy Ty czujesz, że ja szlocham
Za tobą w tęsknocie
Pocóż wątpisz? — Wiedz, że kocham
Jak nikogo w świecie.

Dziś tak samo księżyc świeci,
Mgła pokryła ziemię,
My smucimy się, jak dzieci,
Bo tu nie ma ciebie.

Helena J.

DWA DO DRUKU

Helena J. Wiersze Pani miłe w treści, jednak pod względem formy poetyckiej jeszcze dość słabe. Do druku „przeszwarcowałem" dwa, mimo że mogłem się zastosować do Twego orzeczenia:

Chcesz bym pisała tobie dużo wierszy,
Wiedz, że ja jestem „Klituś - bajduś" mały.
Mój jeden wierszyk, a może być szczerszy,
On musi ci wystarczyć za tomik cały.

Ale żarty na bok! Sympatyczne są te Pani wierszyki — tylko... tylko że jeszcze bardzo nieodpowiedzialne, gdy chodzi o technikę wiersza. Proszę czytać dużo dobrej poezji.

Pozdrawiam Panią serdecznie.

WYZNAJĘ...

„Kochanie". Proszę być pewną, Droga Pani, że pomyślałem o wypoczynku. Ma Pani wielką rację — na wakacjach wypocząłem i teraz czuję się zdrowy i jakiś dziwnie przychylny dla całego świata. Mógłbym bez żenady chwycić pierwszego z brzegu „Smyka" i serdecznie przycisnąć go do piersi.

Lecz muszę, pomijając skutki, wyznać, że sam fakt troskliwości okazanej mi przez Panią — wzruszył mnie niesłychanie. Dziękuję P. gorąco!

Polecam się pamięci i całuję opiekuńczą dłoń subtelnej „Mateczki".

CHĘTNIE...

Bolesław, Michał S. Wiersz Pana niedość wartościowy literacko — nie mogłem go dać do druku. Może przyśle mi Pan inny, bardziej wypracowany. Chętnie posłużę Panu radą i oceną. Więc czekam niecierpliwie, a na razie zasyłam Ci przyjacielski uścisk dłoni!

I ZNÓW...

I znów w duszy coś jękło
Jakaś nuta rozpaczy.
Nić nas łącząca pękła,
Przede mną los tułaczy.

Znów dawne bolą rany
Tak pieką i palą!
Czyjeś usta kochane
Tak skarżą się i żalą.

Znów łzami zaszły oczy
Płaczę — łzy rzęsiście płyną
Tak mi żal tych chwil uroczych,
Co bezpowrotnie giną.

Błądzę tak w mrokach nocy,
Jak rozbitek na fali,
W dal tęsknie patrzą oczy
Tam... jasny brzeg się pali.

Helena Th.

Raj kobiet



Wielkie magazyny mód za granicą lansują już na najbliższy sezon zimowy piękne modele futer, z których kilka podajemy na powyższym zdjęciu.

Władza barw

Howard Keteham jest „inżynierem — kolorystą". Jest to zawód typowo amerykański, nieznany w Europie. Keteham wynalazł system, pozwalający odróżnić 300.000 odcieni barw. Nazwał go „Colorcable" pozwala bowiem określić dokładnie każdy odcień nawet drogą telegraficzną. W poniższym artykule „odkrywca" barw wyjaśnia wpływ kolorów na ludzi.

— Urządzam przyjęcie — rzekła do mnie znajoma — chcę, aby szczególnie ładnie wyglądało. Czy nie ma pan jakiegoś pomysłu?

— Niech pani spróbuje użyć czerwonego światła — odpowiedziałem. — Proszę kupić trzy lub cztery lampy. o sile tysiąca świec każda, nakryć je kloszami i rozstawić na posadce pod meblami. Niech pani zgasi wszelkie inne światło.

Moja znajoma spojrzała na mnie zdziwiona, lecz uczyniła, jak radziłem.

Nazajutrz po przyjęciu opowiedziała mi, że skutki oryginalnego oświetlenia graniczyły z cudem. Łagodne, czerwone światło uczyniło zaproszone panie przynajmniej o dziesięć lat młodszymi, co już samo przez się spowodowało objawy wzmożonej grzeczności ze strony panów, poza tym rozmowy stały się niezwykle miłe i zajmujące.

Wiadomość, udzielona mi przez organizatorkę przyjęcia, nie zdziwiła mnie wcale. Już od dawna używam anilinowej czerwonej barwy dla umilenia przyjęć i uważam ją za niemniej skuteczną, niż coktail.

Barwy wywierają głęboki wpływ na usposobienie ludzkie. Czerwone anilinowe światło działa rozweselająco.

Barwa fioletowa wywołuje melancholię, żółta pobudza system nerwowy. W osiemnastym stuleciu wstawiono w okna niebieskie i purpurowe szyby, uważając, że dają zdrowe światło. W poglądzie tym było dużo słuszności, gdyż odpowiednio zastosowane czerwone światło jest doskonałym środkiem sprowadzającym sen, niebieska zaś barwa uspakaja nerwy i wywołuje uczucie zadowolenia. Jest rzeczą dowiedzioną, że pewne nasiona, kiełkujące przy świetle słonecznym dopiero na ósmy dzień po zasianiu, czynią to już drugiego dnia, o ile poddano je działaniu niebieskiego światła.

Od zarania istnienia człowiek uważał barwy za symbole i wiązał je z myślami i uczuciami. Czerwona barwa symbolizowała odwagę i czyn, lecz również anarchię i krew. Czysto żółty kolor nasuwał myśli o sławie, wesołości i dobrobycie. Inne jednak odcienie tej barwy mówiły ludziom o tchórzostwie, niższości i chorobach. Purpurowa jest symbolem bohaterstwa i wspaniałości, lecz również namiętności, cierpień i tajemnicy. Te asocjacje zakorzeniły się tak głęboko w naszej świadomości, że są powodem wpływu większości barw na nasze usposobienie. Prawdziwie dramatyczny przykład wiary we wpływ kolorów na psychikę ludzką dał niedawno Londyn. Oto w celu przeciwdziałania samobójstwom przez skakanie do Tamizy ze starego ponurego mostu, zarząd miejski kazał pomalować go na zielony kolor. Skutki nie dały długo na siebie czekać. Liczba samobójstw, popełnianych na tym moście zmniejszyła się o trzecią część. Nie wiadomo, czy zielony kolor natchnął zrozpaczonych nową chęcią do życia. Lecz niewątpliwie wielu z nich nie uległo już głębszej depresji na widok czarnej barwy mostu, przypominającej tragizm życia i śmierci.

Poglądy na związek barw z zjawiskami życiowymi nie ulega z pewnością zmianom. W Japonii np. nie miałoby sensu zaproponować komuś kupno czerwonego auta, barwy tej bowiem używa straż ogniowa i poczta. W Anglii rzadko widuje się samochody, pomalowane na zielono, ponieważ stary przesąd uważa ten kolor za przynoszący nieszczęście. W Chinach i w ogóle na Wschodzie biały kolor jest kolorem żałoby. Pewne przedsiębiorstwo benzynowe przypłaciło dotkliwą stratą nieznajomość tego zwyczaju. Wszystkie składnice tego przedsiębiorstwa pomalowano na biało, skutkiem czego omijali je kierowcy samochodów. Doniosłą w skutkach inowacją jest malowanie szos betonowych. Eksperymenty, dokonane w Anglii, stwierdziły, że jasnożółta lub ciemno-pomarańczowa barwa szosy o 40 proc. mniej drażni wzrok przy sztucznym lub słonecznym świetle, niż zwykły biały kolor, co zmniejsza ilość nieszczęśliwych wypadków i pozwala dostrzec przechodnia z większej odległości. Koszt barwienia latem jest niewielki. Wynaleziono również środek, chroniący przed wyblaknięciem barwy.

Bilardy okleja się ostatnio suknem koloru czerwonego wina, okazało się bowiem, że mniej męczy wzrok gráczy, niż poprzednia zielona barwa. Wchodzi również w życie malowanie żagli statków w celu łatwiejszego ich dostrzegania. Okazało się też, że malowanie zanurzonej części kadłuba okrętowego na kolor różowy, żółty, lub biały chroni go bardziej przed czepianiem się wodorostów, niż dawna czarna barwa. Bardzo ważną obecnie kwestię stanowi dobranie odpowiedniej barwy do malowania samolotów komunikacyjnych. Stwierdzono, że wszelkie odcienie niebieskiego i zielonego wpływają uspakajająco na pasażerów. Należy natomiast unikać barwy żółtej, pobudza bowiem do wymiotów.

Technicy, mający do czynienia, z barwieniem, muszą pamiętać, że wszelkie farby, zawierające barwę czerwoną i żółtą należą do „ciepłych" natomiast odcienie barwy niebieskiej są „zimne". W pewnej fabryce nowojorskiej pomalowano jadalnię robotnic na niebiesko. Kobiety zaczęły wkrótce uskarżać się na zimno i idąc na obiad zabierały z sobą okrycia. Inżynier fabryczny nie mógł dociec przyczyn tej wrażliwości robotnic i zwrócił się w końcu do kolego „kolorysty", który kazał pomalować ściany jadalni na pomarańczowy kolor. Środek okazał się skutecznym: robotnice przestały uskarżać się na chłód.

Obecnie nie ulega już wątpliwości, że barwy działają na nasze usposobienie i wrażliwość jak działa bezsenna noc, ból głowy — lub — dobry obiad.



W 8017



W 64142

W 80 17 Śliczny komplecik, składający się z bluzeczki i spodenek. Potrzeba około 2,50 m materiału, szer. 80 cm.

W 64 142 Koszulka i majteczki uszyte z dwóch rodzajów materiału. Potrzeba około 2,60 m szer. 80 cm.

Kroje powyższe nabyć można w naszej administracji w cenie 1,40 zł.

Świat i życie

Nowoczesna tortura

Rozpowszechnione mniemanie, że uśmiercenie za pomocą prądu elektrycznego jest najbardziej humanitarnym rodzajem kary śmierci, nie zgadza się z prawdą. Jako dowód może posłużyć sprawozdanie korespondenta „New York Graphic" o straceniu 19-letniego Ryssa i 29-letniego Emifetta.

Czytamy tak:

W pośrodku sali stało wielkie krzesło, zaopatrzone w mnóstwo rzemieni, przeznaczonych do przytroczenia skazańca. Krzesło to przymocowane było do podłogi za pomocą klamr żelaznych. Dokoła ustawione rzędy prostych ławek, na których pozasiadali ze wzruszenia świadkowie. Wszyscy rozwartymi oczyma wpatrzeni byli w ów straszny „fotel" z jego rzemieniami, pasami i plątaniną drutów miedzianych. Przygotowania dla przyjęcia delikwenta były ukończone... Gdy posłyszałem zamykające się za mną drzwi, chciałem zawrócić i uciec, lecz było już za późno! Bo oto otwarły się drzwiczki przyległej celi i zjawił się w nich John Emilett, wysoki, chudy osobnik robiący wrażenie upośledzonej umysłowo istoty. Zawahał się chwilkę, a wtedy jeden z pomocników chwycił go za ramię i zaprowadził do krzesła. Nieszczęśnik, siadając, drżał na całym ciele. Oprawcy przytroczyli go do fotelu. Spojrzałem na niego i nie zapomnę nigdy wyrazu jego twarzy, chociażbym jeszcze tysiąc lat życia miał przed sobą... Siedziałem wprost przed nim w oddaleniu zaledwie paru metrów, tak, że mogłem dokładnie zaobserwować grę mięśni na jego twarzy. Była to twarz stworzenia, skamieniałego ze zgrozy i strachu przed oczekującą go za chwilę gwałtowną śmiercią.

Do ciała skazańca przyłożono kontakty elektryczne, po czym dokonano połączenia z kablem, który region koniec wysunięto pod kaptur, stanowiący przykrycie głowy delikwenta. Na jego twarzy umieszczono ciemną maskę w ten sposób, że tylko usta były widoczne. Te usta wyzierały spod maski, upiornie wykrzywione. W sali panowała grobowa cisza.. Sekundy wydawały się minutami, a minuty wiecznością.. Na dany znak puszczono prąd. W tej chwili poczęły poruszać się skurczone palce ofiary, żyły pęczniały co raz bardziej, tak, że lada chwila, zdawało się, muszą pęknąć i bryznąć krwią... a korpus wyprężył się w górę, a pot, sącząc ze wszystkich por ciała ciekł na podłogę. Skrzek prądu elektrycznego przypominał pieczenie mięsa na patelni. Owe dwa tysiące wolt i dziewięć amperów przeszywały, sycząc i trzeszcząc, ciało skazańca. Szelesty te tak zagrały mi na nerwach, że chciałem krzyczeć: „Stójcie, na Boga! Przecież smażycie żywcem tego człowieka!" Dreszcze przebiegły mnie od stóp do głowy, a gdy po dwudziestu sekundach wyłączono prąd, westchnienie ulgi wyrwało mi się z piersi. Siedzący obok mnie świadek szepłał: „Jakie to straszne!" Inny zemdlał, ktoś wymiotował.

Dwóch pomocników zbliżyło się do krzesła, aby rozpiąć rzemienie. Podszedł jeden z lekarzy, obmacał krtań straconego, przyłożył słuchawkę do piersi, po czym zwrócił się do obecnych, stwierdzając głośnym, lecz obojętnym głosem, że człowiek ten już nie żyje. Ciało ułożono na ruchomym stole operacyjnym i wywieziono do sali sekcyjnej.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Na sali egzekucyjnej roznosił się swąd przypalonego mięsa...

Ze świata

Tempo

Zakłady Forda wytworzyły rocznie półtora miliona aut. Ford, niezadowolony jeszcze z tak doleko posuniętej produkcji, przeprowadził obecnie cały szereg zmian i powiększeń w swoich olbrzymich fabrykach w Detroit, tak, aby w przyszłości móc tę pierwszą cyfrę wytwórczości rocznej podwoić. Już w ciągu 4 miesięcy roku bieżącego produkcja wozów w detroickich fabrykach Forda tak wzrosła, iż wynosi ona 6.000 aut dziennie!

Jak olbrzymie są możliwości fabryk Forda trudno sobie w Europie zdać z tego sprawę. Wystarczy np. podkreślić fakt, iż zakłady te konsumują rocznie ,trzy razy tyle wody, co trzy wielkie miasta: Waszyngton, Detroit, Cincinnati. Tabor kolejowy (własny) złożony z 19-tu lokomotyw i 1400 wagonów oraz flota, złożona z 30 statków, obsługują zakłady Forda w zakresie transportu surowców i fabrykatów. W ciągu kilku ostatnich lat połowa maszyn i obrabiarek została zastąpiona przez nowe modele, co pociągnęło za sobą wydatki w sumie 217 milionów dolarów.

Zakłady w Detroit posiadają własne koksownie, własne baterie kompresorów, własne gazownie, własne tartaki, huty szklane. Jest to gigantyczny konglomerat fabryk który nie ma równego sobie nawet w Ameryce.

Najbogatsza kobieta w Chili

Za najbogatszą kobietę w Chili uchodzi senorita Adriana Cousino. Jest ona starą panną, a jej dochód w roku 1935 obliczano na 4.751.000 pesos. Z tej sumy na fiskus i rozmaite opłaty przypada, aż 3.126.000, pesos czyli trzy czwarte dochodu. Majątek senority Cousino liczą na około 200 milionów

Dawne listy i nowa miłość

Halu, czy to ty, czy nie? wołał zadyszany głos młodej dziewczyny.

— Ledwo cię dogoniłam, i trochę bałam się wołać, myśląc, że może jednak nie ty: taka elegancka! Ktoby się po tobie tego spodziewał!

I rzeczywiście Halina wyglądała dziś inaczej, w szkole. Dziś o tym słyszała od każdej spotkanej koleżanki. Wszystkie hałaśliwie dyskutowały o przyczynie tej zmiany. A może dlatego, że jest nie w mundurze, w którym przyzwyczaiłyśmy się tylko widzieć? —

Bo dziś właśnie już dowolnie ubrane szły po dyplomy t. z. „świadectwa dojrzałości".

Jednak jedna Hala wiedziała, co się z nią doprawdy stało.

Oto dwa lata temu, kiedy przeszła do 7 klasy, zakochała się pierwszą promienną miłością t. zw. przez dorosłych „szaloną".

Niemalże całe wakacje z „Nim", mimo ogromnych przeszkód, spędziła. Rodzina jej zabraniała im widywać się. Halina musiała przełamywać swą szczerą prostą naturę do kłamstwa. Całą swą inteligencję wysilała na to, aby coraz to inaczej i niespostrzeżenie spotykać się. Ogromny trud i walki wewnętrzne jakie z tego powodu przeżywała odpłacały jej kradzione chwile szczęścia.

A kiedy byli osobno, listy od niego i do niego.

Uwielbiała go, jak tylko uwielbiać może młoda dziewczyna. Był poetą w całej swej istocie, dlatego właśnie tak go kochała.

Marzył przy niej głośno i tworzył mówiąc, że jest dla niego natchnieniem. Był takim innym, niż wszyscy znani jej koledzy i panowie. Kochała go za to i kochała jego oczy, błękitne, ogromne i zawsze gdzieś błądzące w obłokach. Kochała jego głos wnikliwy. Gdy mówił — bała się oddychać, by nie spłoszyć jednego słowa, dźwięku. A mówił takie dziwne rzeczy jakoś wprost do serca...

Była bezgranicznie szczęśliwa. — Wyobrażała sobie jak będzie jego opiekunką w życiu, bo był taki niezaradny, mimo swej duchowej wielkości. Marzyła, że zastąpi mu ciepło domu rodzinnego, że będzie mu przyjacielem, i najlepszą żoną przez całe życie. Upajał ją każdym słowem. Nie słyszała nigdy, by do niej ktoś tak mówił. — Halino, prostota twa i bezpośredniość jest tak piękna, jak nic na świecie. Nie znałem takiej dziewczyny.

Te słowa przetwarzały ją. Chciała naprawdę dla niego być piękną wewnętrznie, szlachetną i dobrą. Chciała, by świat cały był jak najlepszy, bo on na nim żył. Zresztą on jej był światem. Na dźwięk jego głosu, na spojrzenie jego przedziwnych oczu zapominała o wszystkim, o sobie samej.

Tak przeszło lato.

Zaczął się rok szkolny. Nie mogła się uczyć. — chciała jego widzieć. Ach on, który zawsze przychodził o jakiejkolwiek porze i gdzie mu naznaczyła, choćby najbardziej niespodzianie, on przestał przychodzić. Gdy stało się to pierwszy raz myślała, że oszaleje. Bała się, że zachorował, że stało się mu coś złego, nie przyszło jej na myśl, że mógł nie chcieć przyjść. Nawet taką myśl uważałaby za świętokradztwo. Wierzyła jego miłości, jak swej. Ale zdarzało się to coraz częściej.

Zaczęły się wkradać zwątpienia, rozpacz i straszne niezrozumienie, jak się to stać mogło. A on po prostu powiedział: teraz Halino — nie będę miał chwili czasu, bo przez całą zimę będę pisał powieść. — Jaką? — co? nie będziesz mógł mi jej czytać jak dawniej, jak wiersze?.... drżąc pytała.... Nie, bo to wiesz przeszkadza w twórczości.

Zakręciło się jej w głowie od tych słów. Chyba to zły sen! On tak mówi, on, który ją o krytykę prosił, zachwycał się zawsze i stosował się do jej nieśmiało wypowiadanych uwag — on, który nazywał ją swym natchnieniem. Przeraziła się. Zdławiło ją coś w gardle, nie mogła nic powiedzieć. Wreszcie spojrzała w jego oczy. Zachwiała się i była bliska omdlenia, serce jej zamarło — oczy, te ukochane oczy nie były jego oczami, poprostu stały się inne, zimne i dalekie. — Nie mogła nadążyć kroku. Nogi jakoś dziwnie zesztywniały. To już chyba ciebie pożegnam — wyjąkała wyciągając rękę. I jeszcze miała nadzieję, że coś się stanie, że wszystko piękne i dawne powróci.

A on tymczasem żegnając, bez najmniejszego zdziwienia, powiedział krótko: — długo nie będziemy się widywać — tak jestem zajęty.

Droga powrotna do domu była dla niej straszna.

Została wielka tęsknota i rozpaczliwe niezrozumiałe. Dlaczego? zadawała pytanie i nie mogła sobie tego wytłumaczyć.

Czasem chciała pójść wprost do niego, wypłakać przed nim całą miłość i rozpacz, ale nie mogła. Wrodzona duma nie pozwalała jej na mały chociaż krok.

Znienawidziła szkołę; nie mogła się uczyć. Dzień wlókł się za dniem. Marzyła wreszcie, by go choć raz zobaczyć z daleka. I czasem zdarzało się to. Były to dla niej dnie jedyne. Od zobaczenia do zobaczenia żyła. — Dziś może, a może dziś? — wstając łudziła się. A gdy mijali się, czasem jej nie widział, czasem kłaniał się. Co wtedy przeżywała, sama nie potrafiłaby powiedzieć.

Cudem poprostu przeszła do 8 klasy, nie uczyła się prawie nic. Sama ten rok w duszy nazywała — rokiem rozpaczy i tęsknoty.

Nastąpiło nowe lato i nowe nadzieje. Ale było jak dawniej: raz na kilka tygodni mijali się na ulicy, jak obcy ludzie.

I przeszły wakacje. 8 klasa. Już odrazu na wstępie atmosfera maturalna. Przymówienia profesorów na temat powagi tego roku i nauki, która zaważy na całym życiu. Halina słuchała tego obojętnie, ale w pewnym momencie coś przymówiło do jej świadomości. Jakby się obudziła z letargu.

— Muszę się uczyć i zdać maturę, choćby dla niego — powiedziała sobie.

— I wytrwała. Jak ciężki był dla niej ten rok, nie ma słów na wypowiedzenie. Zabijała tęsknotę, siedziała całymi nocami nad powtórkami do egzaminu, zabraniając sobie myśleć o nim....

I zdała... — A dziś oto idzie po dyplom. I dalej słucha podziwu koleżanek nad swym wyglądem. Słucha i uśmiecha się. Wie co ją tak wypiękniło: — malutka karteczka ukochanym pismem nagryzmolona: „Jutro czekam na Cię po wydaniu dyplomów"... Co to znaczy, mówiła sobie cichutko, słuchając radosnego szeptu serca, że... dziś będzie czekał, że on myśli o niej... A co znaczyły te dwa lata? — może celowo tak zrobił? O, dobry, szlachetny, bo wiedział, że uczyć się nie będzie mogła widując jego. Boi się tak myśleć, ale myśli, raczej całym jestestwem cieszy się i drży radosną nadzieją...

Podwórze szkolne. — Halina czeka, aż zawołają całą klasę do budynku na tą uroczystą chwilę — i wtem widzi zdaleka, na ulicy swego Apolla — O, mój drogi, za wcześnie przyszedłeś — szepce bezprzytomnie i tuli ręce do serca, bo wydaje się jej, że wyskoczy. Nieprzytomna bierze świadectwo i pierwsza wybiega ze szkoły. — Ach, przypomina sobie, w alejce do ulicy, miałam sfotografować klasę na pamiątkę, ale — dobrze, że nie uczyniłam tego — zostanie dla nas klisza. Cieszy się i wyobraża sobie jak zrobią to zdjęcie, czy jak dawniej?... Już go widzi — zbliża się — „czekałeś bardzo długo, widziałam, jak przyszedłeś" — mówi cicho zamiast powitania i drży w oczekiwaniu. — A on zaczyna opowiadać jak się ogromnie zmienił.

Halina słucha go najpierw z przejęciem. Ale co to on mówi — zaczyna się dziwić. — Jakto? — ty jesteś materialistą?

On, tak, ma się rozumieć — idealizm i poezja — to głupota.

Halinę ogarnia nagle chęć ucieczki jak najdalszej od tych słów. Nie słyszeć — nie słyszyć — woła w niej coś. Ale on mówi dalej bezlitośnie, zresztą nie widzi i nie domyśla się, co się z nią dzieje.

Halina próbuje zmienić temat. Wreszcie są w przestronnym miejscu. Kurczowo chwyta się ostatniego ratunku (oby przestał mówić) — róbmy zdjęcie! — on jakoś niechętnie się do tego odnosi i dalej coś mówi siedząc na ławce. Halina już wkręca statyw.

— Wtem pada pytanie: — pamiętasz, pisywaliśmy do siebie?

— chyba, więc? — więc?

— oddaj mi te wszystkie fotografie i listy.

— d-lac-z-e-go? — woła czując, że przeżywa najgorszy moment w życiu, ale przekręca tak zapamiętale statyw, że łamie się aparat. — To nic, mówi spokojnie, nie możemy razem automatem sfotografować się, sfotografuję tylko ciebie — i drżącymi rękami nastawia. — Skończyła i myśli, że wszystko skończone. — Dlaczego? pyta jeszcze.

— Bo to było głupie, ja byłem wtedy taki inny, że się wstydzę teraz. Widzisz, że jestem innym człowiekiem. I wiersze te głupiutkie zniszcz, albo oddaj.

Jakimś twardym i nieswoim głosem odpowiedziała mu, że nie zrobi tego, bo miały dla niej swoją wartość — nie chciała powiedzieć, że mają... On jeszcze chce przekonywać, więc mówi — Dobrze, ale ty wobec tego też moje mi oddasz. — Kiedyż? — Za tydzień — tu. Dowidzenia.

Chwiejnym krokiem wraca. Czuje na sobie jakiś ciężar nie do zniesienia — nie rozumie co się z nią stało — nic nie myśli.

W domu gratulacje maturalne, ucieka tłumacząc się bólem głowy i bierze listy, swą „głupią" — świętość i bezmyślnie na nie patrzy. Nie może ich nawet ten ostatni raz przeczytać. Jedno słowo kręci się jej jakoś uparcie z dotkliwą dokuczliwością „to głupie, — to głupie, — to głupie" i tak mija tydzień. Co zrobić, oddać, czy nie? Przychodzą jej szalone pomysły np.: zawinie czysty papier, lub napisze wszystko, co czuje i odda zamiast listów.

Ale w dniu oznaczonym niesie wszystko spokojna i opanowana zewnętrznie. — Mieniają się. Chce już odejść, nie patrzy na niego, ale... czuje jego dotknięcie. — Co to? Oczy jego jak wtedy... — i cichy szept: Halino, wybacz, wybacz, i dwie ogromne łzy — mnie tak ogromnie życie zmieniło, gdy nie byłem z tobą. Ale kiedy przeczytałem twoje listy zrozumiałem, że jedyna droga, to przy tobie, że błądziłem. Halino, dziewczyno moja, coś ty musiała przecierpić... Tuli ją w ramionach i zcałowuje łzy... Spójrz choć raz jak dawniej, Halszko, wybacz chociaż spojrzeniem... Patrz co zdziałały twe listy z przed 2 lat.

Halina podnosi swe szare oczy i zdołała tylko wyszeptać:

— O, Apollo! więc zły sen skończył się...

Zofja Michelsonówna.

waldem, gdy ona była jeszcze małym, półtora roku liczącym dzieckiem.

W mojej parafii wzrastała ona na kwitnącą dziewczynę. Rodzina Herbertów była bliską sercu memu w doli i niedoli, znam ją bardzo dobrze i wszystkich jej bliskich. Mogę zatem z całą pewnością stwierdzić, że ten człowiek, który Sylwię tu sprowadził, nie stoi do nich w żadnym stosunku. Popełnił haniebną zbrodnię, a pan pomógł mu bezwiednie i nieumyślnie.

— Żałuję strasznie, że jestem taki łatwowierny — rzekł przybity Silas — i gdybym w jakikolwiek sposób mógł dać odszkodowanie za nieszczęście, którego przyczyną stałem się pośrednio i mimowoli, to zrobiłbym to z radością.

— Wszystko, co pan może zrobić — zawołała pani Herbert — to to, że pan nam pozwoli odjechać dobrowolnie.

— Radbym państwa zatrzymać u siebie, gdybyście mi chcieli zrobić ten zaszczyt; ale nie mam odwagi prosić nawet o to — rzekł Silas smutny. — Proszę tylko pokornie o przebaczenie, żem państwu niechcąco sprawił tyle cierpień.

Mówiąc to patrzył tak smutno i z tak widocznym przygnębieniem, że serce Sylwii pełne było litości dla niego.

— Mamusiu! — szepnęła przybranej matce — niech mu mamusia odpowie uprzejmie jakoś. On naprawdę jest bardzo szlachetny. Widzi mama, jak on się martwi, że lekkomyślnie wpadł w pułapkę barona. Niech mamusia w ten dzień radości naszej nie pozostawia na swej drodze cierpiącego bez pocieszenia.

Na te słowa córki wszelka złość ustąpiła z serca pani Herbert do reszty i w duszy jej wzięły górę uczucia szlachetniejsze.

— Nie gniewam się już na pana — rzekła do Silasa — niech mi pan poda rękę. Przeproszę się z panem całkiem, jeżeli mi pan przyrzeknie...

— Niech pani rozkazuje — odrzekł Silas, z szacunkiem całując ją w rękę.

— Że mi pan pomoże wydać tamtego łotra w ręce sprawiedliwości! — zawołała pani Herbertowa.

— Przysięgam pani, że zrobię wszystko, co jest w mojej mocy! — przyrzekł doktór — udamy się teraz do niego i ja sam oddam go w ręce policji.

— A myśli pan, że go znajdziemy? — spytała Herbertowa.

— Tak. Asystent mój był w jego mieszkaniu!

— Ej, czy się pan znowu nie dał oszukać, niedowierzała pani Herbert — najlepiej pojedziemy od razu i zobaczymy.

— Zaraz się spakuję — zawołała Sylwia — niech mi mama pozwoli — za pięć minut będę gotowa.

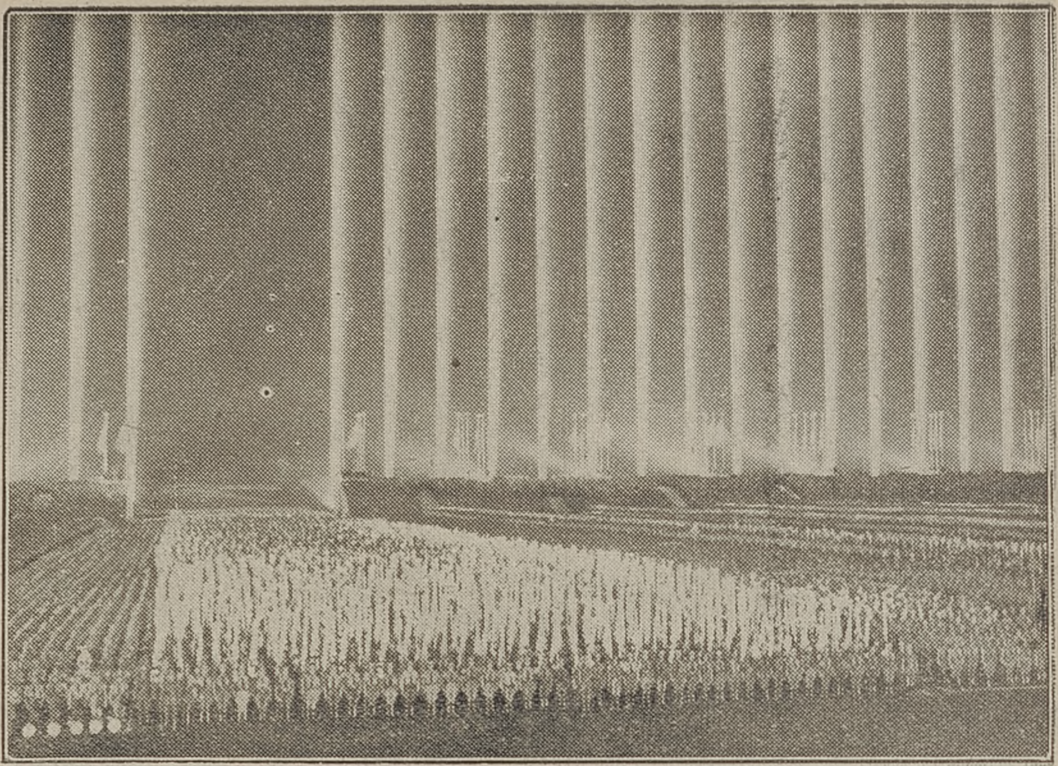
Chciała wybiec z pokoju, ale pani Herbert bała się już rozstawać z nią choćby i na pół minuty i poszła za nią. Willemerka zbliżyła się do księdza i rzekła słodziutko:

— No, chwała Bogu, że to się skończyło tak szczęśliwie. Szczęśliwa jestem i nie wiem tylko komu mam za to dziękować. Kto pani Herbert powiedział gdzie ma szukać córki?

— Młoda jakaś panienka — opowiadał ksiądz.

— Ciekawam — zamyśliła się Willemerka — a jak ona wyglądała? Musiała to być jedna z jej przyjaciółek. Panie doktorze — dodała — zwróciwszy się do Silasa z ukrytym szyderstwem

— Nie mogła mi wyrządzić większej przysługi — odpowiedział poważnie doktor — ktokolwiek to był, jestem mu bardzo wdzięczny.



W Norymberdze — jak wiadomo — odbył się w tych dniach wielki zjazd członków partii narodowo-socjalistycznej. Na zdjęciu kolumny S. A. i S. S. podczas wieczornego apelu, który odbył się przy światłach reflektorów.

Widząc, że Silas jest tego zdania, nie miała Willemerka interesu w tym, by się dalej o to wypytywać.

Zadzwoniła i kazała służącemu przynieść drugie śniadanie. Wnet wróciła Sylwia z matką, niosąc małą torebkę na ramieniu, szczęśliwa i uradowana.

— Ach, jakże jestem szczęśliwa, że znowu będę w domu! — zawołała — tęsknię tak do ukochanego tatka — ach — nigdzie nie było tak ładnie i przyjemnie jak w domu. Tam zapomina się o wszystkich bólach i cierpieniach.

Pani Herbert serce się krajało, gdy słyszała te słowa.

Myślała bowiem o tym, jak ciężki zawód spotka Sylwię.

Nie miała już domu! Ci, których uważała za swych rodziców, sami już nic nie mieli i korzystali tylko z miłosierdzia bliźnich.

Sylwia, nie przeczuwając nic, w wymownych słowach przedstawiała swój dom rodzicielski, a każde jej słowo było jakby pchnięciem sztyletu dla jej matki.

— Chodź dziecko, rzekła siląc się na wesołość.

Pani Willemer słodziutko pożegnała się z Sylwią i zapewniała, że kochała ją zawsze, jak siostrę, że cieszy się słusznie z rozwiązania szczęśliwego nieszczęsnej afery i próbowała nawet ucałować ją w czoło.

Ale Sylwia wywinęła się zręcznie i pożegnała się ceremonialnym ukłonem.

Opuściwszy dom, w którym przeżyła tak straszne chwile, w którym byłaby padła ofiarą trucicielki, wyszła z matką, księdzem i doktorem Silasem.

On był taki zamyślony, że zapomniał się pożegnać z Willemerką, co było najlepszym dowodem, że się kochał po uszy w Sylwii, bo zawsze dotychczas pedantycznie przestrzegał form towarzyskich.

Willemerka wściekała się ze złości.

— To dzieło Idy, myślała zaciskając zęby — teraz wiem komu mam zawdzięczyć to, że szczęście mego życia jest zwichnięte.

Weszła do sali, by wylać złość na kimś.

— Biada temu słudze, którego dziś schwytała na jakiejś niedokładności!

. . . .

Tymczasem sanie z naszym towarzystwem szybko zbliżały się do Wiednia.

Herbertowa pomału dopiero oswajała się z radosną myślą, że odzyskała najukochańsze dziecko, a Sylwia stawiała tysiączne pytania o ojcu, domownych, sąsiadów i dom.

Spostrzegła się ostatecznie, że matka coś kryje przed nią.

— Mamusiu! — rzekła nagle — ja widzę, że coś się stało — niech mi mama powie!

— Zmieniło się wiele u nas w czasie twej nieobecności. Bądź przygotowana na to, że niejednego, co ci było drogim i kochanym, już nie zastaniesz. Starej Kasi już nie ma...

— Umarła? — spytała Sylwia wzruszona — biedna staruszka. Cierpiała bardzo?

— Nie! — odpowiedziała Herbertowa — kilka dni tylko chorowała. Pogrzeb miała bardzo uroczysty. Pamiętam, że ona sobie tego życzyła. To życzenie było ogólnie znane i na pogrzeb jej poprzychodzili ludzie nawet z okolicznych wsi.

Sylwia zadumała się smętnie; lubiała bardzo tę staruszkę, która do niej była przywiązana — a ona nawet nie mogła się z nią pożegnać i podziękować jej za tyle serca.

Szeptała pacierz za spokój jej duszy i powstrzymywała gwałtem łzy.

Silas nie spuszczał z niej oka.

Jakże piękna była z tym smutkiem w cudnych oczach!

Cały świat byłby dał za to, żeby ją mógł przycisnąć do swojej piersi i pocieszyć. Ale nie miał odwagi wywnętrzać się ze swoim współczuciem i musiał się ograniczyć na wypowiedzeniu kilku banalnych, konwencjonalnych frazesów.

Rozmowa urwała się zupełnie.

Każdy z podróżnych zajęty był swoimi myślami, gdy sanie zboczyły i zajechały przed bramę domu, w którym mieszkał Ismar Cohen.

Silas westchnął i rzekł:



Piękny widok górski ze Szwajcarii. Pomysłowi Szwajcarzy budują wokół Grossglocknera kamienną promenadę, która ułatwi turystom wspinanie się na szczyt góry.

— Jesteśmy u celu! Za kilka chwil staniemy oko w oko z nowym człowiekiem.

Pomógł paniom wysiąść i pobiegłszy naprzód zadzwonił do drzwi Cohena.

Po kilku chwilach zjawiła się gderliwa staruszka i spytała go niechętnie, czego chce.

— Czy pan Cohen w domu? — spytał, drżąc ze wzburzenia.

— Właśnie wrócił z podróży — odpowiedziała niegrzecznie stara — i nie kazał nikogo puszczać.

— My musimy z nim mówić — rzekł Silas i poparł swoje twierdzenie guldenem, który jej wcisnął w rękę. — Sprawa bardzo ważna. Umyślnie przyjechaliśmy do Wiednia, żeby się od pana Cohena czegoś dowiedzieć. Puśćcie nas!

Stara schowała guldena i rozbrojona nim, wpuściła ich do pokoju.

— Proszę wejść — rzekła wskazując na jedne drzwi w przedpokoju i goście usłuchali tego mało uprzejmego wezwania.

W pokoju zastali pana, który wcale a wcale nie był podobny do tego, który Sylwię przywiózł do sanatorium.

Silas zdziwił się.

— Przepraszam — rzekł — lecz my do pana Cohena.

W odpowiedzi usłyszeli niegrzeczne mruknięcie.

— Z kim mam przyjemność — zapytał zły — nazywam się Cohen.

— Daruj pan! — odrzekł Silas bardzo wzburzony — ale nam chodzi o pana Ismara Cohena, pewnie brata pańskiego.

— Ja nie mam żadnego brata, dlaczego ja sam nie mam być Ismar Cohen? — rzucił się niecierpliwie gospodarz. — Co pan ma przeciwko temu, co?

Mówił coraz głośniej, a skończył krzycząc nieledwie.

— Co to ma znaczyć, że tu sobie państwo przychodzicie we czworo i nic nie mówicie, kto jesteście, tylko stawiacie banalne pytania? Czy ja jestem wam winien pieniądze? Nie mam długów, a jakbym miał, to bym nie zapłacił! — krzyczał dalej.

— Nie o długi chodzi — odparł Silas blady jak trup. — Przed kilku miesiącami przybył do mego sanatorium jakiś pan, który kazał siebie nazywać Ismarem Cohenem i oddał mi w opiekę swoją wnuczkę.

— Jeżeli on zrobił dług na moje nazwisko, to ja nie będę płacił! — zawołał Cohen w najwyższej irytacji. — Ja nie kazałem dawać mu kredytu, ja nie mogę się rujnować dlatego, że łotr jakiś nadużył mego uczciwego nazwiska.

— Powoli, panie! — uspokajał go Silas — o kszta żadne niech się pan nie boi...

— Niech pan to da na piśmie, wobec świadków, na piśmie! — przerwał mu Cohen...

Silas sądził, że go tym uspokoi i dał mu to na piśmie i Cohen trochę się uspokoił. Pozwolił dyrektorowi opowiedzieć wszystko do końca i przerwał mu wszystkiego dwa, czy trzy razy.

Czarne jego oczy błyszczały, a gdy Silas skończył, odpowiedział mu:

— Jakiś szubrawiec wyzyskał moje nieszczęście i nadużył mego imienia. Nie znam go, ale go wynajdę i biada mu wtedy!

Niech mi pan da swój adres, ja się już zgłoszę do pana.

— Ja znam tego, kto to zrobił — wtrąciła się pani Herbert do rozmowy — ale nie mam dowodów na to, że to on. To wielki pan, którego sława jest pozornie czysta.

— Nie długo zostanie czysta! — zapewniał Cohen z błyszczącymi oczyma — on musi być znanym w Wiedniu, kiedy znał tak dobrze moje stosunki domowe.

— Czy pan miał kiedy stosunki z panem baronem von Sturmfeder? — pytała pani Herbert.

— Pożyczałem mu pieniądze — odpowiedział Cohen — niech go diabli wezmą.

— To on — zaczęła pani Herbert, ale przerwał jej ksiądz:

— Nie wolno podejrzewać nikogo, czyja wina nie jest udowodniona — rzekł poważnie — a moim zdaniem to niemożliwe, żeby to zrobił baron. Przecież panna Sylwia znikła tuż przed jego ślubem, więc jakżeby on bezpośrednio po dokonaniu takiej zbrodni, mógł stanąć przed ołtarz Pański?

Jakżeby mógł być przypuszczonym do komunii świętej? Pani niechęć, no i słuszny zresztą brak zaufania do niego, podsuwa pani najgorsze myśli.

— No, ja już milczę — zgodziła się pani Herbert, ale ten łotr i wszyscy zbrodniarze nie ujdą kary Boskiej, a nikczemne ich postępki wszystkie wyjdą na jaw. Pokaże się, kto miał słuszność.

— Baronowi można wszystko przypisać — mruknął Cohen — on jest najchytrzejszy, najprzebieglejszy lis między moimi dłużnikami.

— Nie będziemy panu dłużej przeszkadzać — rzekła Herbertowa — wybacz pan, żeśmy go naszli.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Cohen, który nagle stał się uprzejmym, gdy spostrzegł, że nikt nie ma zamiaru pożyczać u niego pieniędzy. — Było mi bardzo przyjemnie!

Odprowadził gości aż do samych drzwi i wypytywał się po drodze Silasa o ceny w jego sanatorium i czy się płaci z góry czy z dołu.

— Jak kto chce — odpowiedział Silas, nie będąc w usposobieniu do ubijania interesu.

— Ja za wnuczkę muszę płacić tam, gdzie ona jest za cały kwartał z góry — narzekał Cohen. — Jakby ona tak umarła, broń Boże, na początku kwartału, to ja jestem stratny za dwa miesiące.

Nikt nie będzie taki głupi, żeby raz otrzymane pieniądze oddawał! Wie pan co!? Od kwartału zgłoszę się do pana!

Silas skłonił się milcząc i rzekł uroczyście do Sylwii:

— Winienem to pani, żeby tego łotra wynaleźć. Bóg poprowadzi moje kroki. Niech mi pani wybaczy, żeś z mojej przyczyny tyle cierpiała.

Raz jeszcze pocałował ją w rękę i z zapałem pożegnał towarzystwo, życząc sobie w duchu, żeby jeszcze go dłużej zatrzymali.

— Wieczornym pociągiem musimy wracać — rzekła pani Herbert — możebyśmy wstąpili gdzie do hotelu, żeby się pokrzepić i wypocząć.

W kwadrans później wszyscy troje siedzieli w hotelu przy nakrytym stole.

. . . .

Na zamku w Dornbruch pan baron Sturmfeder wygodnie rozparty w fotelu czytał gazetę.

Dostawał ją po kilka godzin później, niż mieszkańcy stolicy, bo mieszkał daleko od Wiednia.

Nagle zobaczył inserat.

„Ismar Cohen! Niebezpieczeństwo grozi!“

Zbladł jak ściana.

Co to znaczy? czy to do mnie? — pomyślał — ale kto mnie przestrzega tak życzliwie? Muszę niezwłocznie udać się do sanatorium.

W salonie zadziwił wszystkich wiadomością, że jedzie do Wiednia.

— Mała niespodzianka będzie także — dodał usprawiedliwiając odjazd tym, że musi być w Wiedniu, by wszystko przygotować na przybycie żony.

— Te niespodzianki, to wielkie ryzyko — odpowiedziała Ada — często się nie udają.

— O, ta się uda! — zapewniał Egon — ale muszę spieszyć, bo pociąg ucieknie.

Na stacji zobaczył, jak z wagonu wysiadł pan i dwie panie — i zbladł.

To Sylwia z matką i księdzem. A więc przestroga przyszła za późno.
Pani Herbert poznała go także.
Zbliżyła się do niego i szepnęła mu cicho ale groźnie:
— Pan jesteś tym demonem mojej rodziny. Pan zwabiłeś moją córkę do zakładu obłąkanych, męża niesłusznym oskarżeniem wtrąciłeś mi pan do więzienia, szczęście nasze zmieniłeś pan w gruzy, ale Bóg pana osądzi i ukarze, a gniew Jego, pana zdruzgoce.
Zanim miał czas odpowiedzieć cośkolwiek, odwróciła się i poszła.
Egon z trudem musiał walczyć, by udać pozór obojętności, bo to, że Sylwia odzyskała wolność zabolało go wściekle.
Teraz i podróż do Wiednia była niepotrzebna — w sanatorium nie mógł się pokazywać — udał więc, że mu się nagle zrobiło słabo i wrócił do zamku Dornbruch, gdyż uważał, że bezpieczniej dla niego nie pokazywać się w Wiedniu.

ROZDZIAŁ CXCII.

W hotelu opowiedziała pani Herbert córce wszystko, co zaszło w Königswalden.
Sylwia płakała rzewnymi łzami na myśl o hańbie, która niesłusznie spotkała kochanego jej ojca.
Wiedziała, że i tu baron Sturmfeder jest sprawcą wszystkich jej nieszczęść.
Jeżeliby się jej udało tego łotra zdemaskować, dowiodłaby niewinności ojca.
Baron karierę zbrodniczą rozpoczął tym, że sprzątnął z powierzchni ziemi Wernera.
Ach, co byłaby Sylwia za to dała, żeby mogła dać dowód tej zbrodni.
Ale mimo najusilniejszych starań nie udało jej się znaleźć dowodów na to.
Agent, tak drogo płatny, niczego właściwie się nie dowiedział.
Sylwia straciła zupełnie nadzieję szczęścia.
Co począć teraz, aby przynajmniej, jeżeli nie siebie, to najbliższych swoich uszczęśliwić?
W Königswalden przywitały ich serdecznie Ida i Albertyna.
Ida wyleczona była już zupełnie i wyglądała ładniej niż zwykle.
Sylwia dziękowała jej serdecznie, a pani Herbert rzekła:
— Moje drogie dziecko, ja teraz sama korzystam z litości chrześcijan. Ale da Bóg, będę miała znowu dom swój własny, to podzielę się nim z panią i każdym kawałkiem chleba. Zamiast jednej córki, mam dwie, kochane ogromnie!
Na te słowa Idzie łzami zaszły oczy.
Jak chętnie zostałaby u tych ludzi, którzy jej okazywali tyle serca, jak nikt na całym świecie.
Ale oni sami byli biedni! Czyż mogła im być ciężarem?
Rzekła więc otwarcie, co o tym myśli.
— Ależ przeciwnie, zaprzeczyła żywo Sylwia — nie ciężar m nam będziesz, ale pomocą! Jeżeli mama pojedzie z nami do Petershagen, możemy się tam we trzy wyżywić pracą rąk własnych. Będziemy pilnie szyć i szyciem zarabiać na życie. Dla mnie byłoby to przynajmniej ulgą, że byłabym bliżej ojca. Może nam pozwolą odwiedzać go raz na tydzień.
Pani Herbert nie zapatrywała się na to tak różowo, ale nie chciała córce odbierać nadziei.
— W każdym razie rzekła — panna Ida opuścić nas może dopiero wtedy, gdy będzie miała pewne widoki na lepszą przyszłość. Do tej pory będzie dla mnie pociechą, mieć ją przy sobie, w



Do Niemiec przybywa z wizytą w drugiej połowie września dyktator Włoch Mussolini. Powyższe zdjęcie przedstawia kanclerza Hitlera podczas rozmowy z Mussolini'm w Wenecji w roku 1934.

swoim domu. Jak długo będę miała przy sobie obie moje kochane córki, nie będę się czuć nieszczęśliwą.
Naleganiom Sylwii i matki jej ustępując, zdecydowała się Ida pozostać.
Do późnego wieczora gadano i gadano, bo kobiety miały sobie wiele do powiedzenia.
O północy siedziały jeszcze i układały plany na przyszłość.
Nagle zapukał ktoś do okna i głos dziewczęcy, dziwnie znajomy, prosił o wpuszczenie.
— Kto tam? — zapytała pani Herbert.
— Mala Herz, — odpowiedziała dziewczyna cicho.
Pani Herbertowa wybiegła i spostrzegła bladą, grubo opatuloną dziewczynę.
— Wiem, że panienka wróciła — rzekła — czy mogłabym z nią pomówić?
— Proszę bardzo — odpowiedziała staruszka — Sylwia bardzo się będzie panią cieszyć! Proszę wejść. Pani pieszo odbyła tak daleką drogę w nocy, wśród śniegu?
— Tak jest — odpowiedziała Mala, strzepując śnieg — i dlatego mam nadzieję, że w zamku nikt nie spostrzeże mojej nieobecności.
— Musi nam pani mieć coś bardzo poważnego do powiedzenia.
— Tak, choć to niewiele. Głównie chciałam powitać pannę Sylwię i wyrazić jej moją radość z powodu tego, że szczęśliwie wróciła. W dzień nie chciałam, aby w zamku się nie dowiedziano, że się stykamy. Baron i baronowa nienawidzę was. Hrabina była wam życzliwa, ale teraz także już się zmieniła, od kiedyście nie przyjęli jej podarunku.
— Przykro mi, żem tę dobrą staruszkę obraziła — odpowiedziała pani Herbert — ale nie mogłam inaczej.
Tak rozmawiając, weszły do pokoiku, w którym przywitała się Mala z Sylwią i z Idą, którą znała jeszcze z Wiednia. Ida bowiem krótki czas szyła w tym samym magazynie konfekcji damskiej.
— Panno Malo — błagała ją Ida — proszę mnie nie zdradzić! Uciekłam od moich opiekunów.
— Niech się pani nie boi! — uspokoiła ją Mala — ten stary kocur, ta Haiowa, niczego się ode mnie o pani nie dowie.
Potem zwróciła się do Sylwii.
Ktoś barona przestrzegł — rzekła — widziałam jak czytał dziś gazetę, nagle zbladł i wyszedł do salonu i powiedział damom ni stąd ni z owąd, że musi jechać do Wiednia. Spojrzałam prędko na gazetę i zobaczyłam inserat:
„Ismar Cohen, niebezpieczeństwo grozi.“
Widać, że to go tak przestraszyło.
— Podziwiam domyślność pani! — odpowiedziała Sylwia. — W istocie człowiek, który mnie zwabił do sanatorium, przedstawiał się pod tym imieniem.
— A potem wrócił zaraz z dworca — mówiła dalej Mala — bo pewnie panienkę zobaczył powracającą.
Wrócił i mówił, że już nie jedzie do Wiednia, bo jest niezdrów.
— Tak jest, tak jest! — potakiwała żywo Sylwia — on pewnie chciał jechać do Wiednia, by poczynić kroki jakieś przeciwko mnie, a zobaczywszy nas na dworcu uznał, że już za późno. Tak jest! dla nas to jest rzecz nieulegająca najmniejszej wątpliwości! Ale jakim sposobem damy dowód tego przed sądem!? Sędzia będzie żądał dowodów, a wobec tego my jesteśmy bezradne. Ojciec mój w więzieniu niewinnie zamknięty — narzeczony znosi może — Bóg wie — jakie męki — a ja tu nic nie mogę zrobić, tylko ręce łamać z rozpaczy. Ach Boże! mój Boże!
— Żeby tak można sprowadzić stangreta Mayera — radziła Mala — on mógłby powiedzieć niejedno.
— Myślałam już o nim — odrzekła Sylwia — ale gdzie go znaleźć?
— Z Ameryki przyszedł do księdza list — rzekła na to pani Herbert — cieszyłam się już, że to od Mayera; wyobraź sobie, jakie było rozczarowanie nasze, gdyśmy otworzywszy list znaleźli tylko czysty, niezapisany papier.
— Ale pieczątka pocztowa! — zawołała Sylwia zdenerwowana.
— Zamazana tak, że nic nie można odczytać — odpowiedziała Herbertowa.
— W Wiedniu mieszkali u moich znajomych — wtrącia się do rozmowy Mala — może pisali do nich, Zuzia na-



Zatańczyły dwa misiątka...

wet obiecała jej, że będzie pisać. Jeżeli dotrzymała obietnicę, to ta znajoma moja, Janka Weillbronn, pokaże mi list od niej, a ja państwu naturalnie powiem.

— Ach, jakbym pani była wdzięczna! — zawołała Sylwia — widzę, że mam w pani prawdziwą przyjaciółkę!

— Proszę mi teraz powiedzieć — prosiła Herbertowa — czy te listy anonimowe do mego męża pani posyłała?

— Tak jest — odpowiedziała Mala — będąc we Włoszech posyłałam je do Wiednia do przyjaciółki, która je stamtąd wysyłała. Ale — co to jeszcze chciałam powiedzieć. Mam wielką prośbę do pani. Pani teraz straciła wszystko! Oto jest moja zapłata za kwartał, i to co dostałam na gwiazdkę. Proszę to przyjąć ode mnie w formie pożyczki. Jak pani będzie miała, to mi pani odda.

To rzekłszy włożyła Sylwii do ręki ciężką małą paczkę i zanim jej można było odpowiedzieć, wyszła i znikła w ciemnościach nocy.

— A więc po to przyszła — rzekła wzruszona pani Herbert — w taką srogą noc zimową, żeby nam oddać swój krwawo zapracowany grosz! To niezwykła dobroć u tej dziewczyny! Nie mają racji ci, którzy mówią, że nie ma dobrych ludzi na świecie. Czy przyjmiesz?

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia — nie można nieprzyjmować. Oddam jej to kiedyś z podziękowaniem!

Rozmowa o Mali trwała jeszcze czas jakiś, aż kobiety udały się na spoczynek.

Nazajutrz miały nową niespodziankę. Na probostwie zjawił się pan Jeremiasz Mehlhose. Czytał w gazecie o pożarze w Königswalden i o tym, że spaliła się leśniczówka i chciał pani Herbert zaofiarować swoją pomoc.

Sylwia spotkała go pierwsza.

Agent zdziwił się ujrzawszy ją.

A więc ta osoba, której tygodniami całymi szukał jak wariat, stała tu przed nim zdrowa i cała.

— Co? — zdziwiła się Sylwia — przywitawszy go uprzejmie — pan już dostał list matki tak prędko? To niemożliwe!

— Nie! — odpowiedział Mehlhose — listu nie dostałem i dziwię się niezmiernie, że panią widzę tutaj.

— Proszę wejść! — zapraszała Sylwia — opowiem panu wszystko.

Agent wszedł, a ona odpowiedziała mu jakim sposobem zwabiono ją do Wiednia, gdzie ją przyjęła jakaś dama.

— Taka wysoka, w czarnym kapeluszu i woalce? — spytał agent.

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia.

Agent opisywał dalej, jak ta osoba wyglądała i wszystkie szczegóły zgadzały się.

— Panią tak wyglądającą spotkałem w anatomii — zawołał agent i opowiadał Sylwii całe zdarzenie.

— Nie ma wątpliwości, że to ta sama — rzekł wreszcie — ale też nie ma mowy o tym, żeby się ona przyznała do czegoś, jak to miałem sposobność zauważyć.

— Panie Mehlhose — rzekła Sylwia — skoro już jestem wolna, to mniejsza o to. Teraz głównie chciałabym dowieść niewinności mego ojca. Podpalacz ten, to był człowiek, który mało kiedy bywał w leśniczówce.

— Skąd pani wie to? — spytał agent.

— Struł psy, żeby nie szczekały — odpowiedziała dziewczyna — musiał im więc być nieznajomy. To najlepszy dowód.

— I znaleziono strute trupy psów? — spytał agent ciekawie.

— Nie — odpowiedziała Sylwia — znaleziono tylko kilka kości — szczątki Pluta. W budzie psa o wiele później się paliło niż w domu, mógłby więc był uciec, gdyby nie był struty. Widocznie musiał już nie żyć, gdy pożar się wszczął. A z drugiego psa nie ma ani śladu.

— Bardzo to pani bystro wyśledziła — chwalił Mehlhose — a czy widziano w pobliżu kogoś obcego?

— Nie! — odpowiedziała Sylwia — ale ojciec opowiedział mamie, że krótki czas przed wybuchem pożaru zbudził się, a to z tej przyczyny, że ktoś ostrożnie dotknął się jego poduszki. Zapalił światło, nie widząc jednak nic podejrzanego uspokoił się, sądząc, że mu się to tylko śniło. Zasnął wkrótce znowu i zbudził się dopiero, gdy pokój cały pełny był nieznośnego dymu. Zbudził mamę i oboje ubierając się, zemdleli z powodu coraz gęstszego dymu. Byliby padli ofiarą płomieni, gdyby nie gajowi, którzy uratowali ich z narażeniem własnego życia. I to także przemawia za tym, że ogień był podłożony, bo równocześnie paliło się w kilku miejscach.

— Tak jest — zauważył agent — wszyscy mówią, że to było podpalone.

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia — ale nikt prócz barona Sturmfedera, nie waży się posądzać o podpalenie mego ojca. Jego, który ma tak wyrobione poczucie honoru i uczciwości, ten łotr i szubrawiec posądza o taką zbrodnię! Niczym go tak nie mógł obrazić i skrzywdzić, jak takim właśnie podejrzeniem! Kiedy myślę o tym, że ojciec mój chory leży w więzieniu, serce mi pęka!

Zalała się łzami i załamywała ręce.

— Proszę pani! — uspakajał ją ajent — wytężę wszystkie moje siły, aby wykazać niewinność ojca pani i znaleźć winnego.

Sylwia chciała coś powiedzieć, ale on nie dał jej przyjść do słowa.

— Wiem, co pani chce powiedzieć! — rzekł prędko, państwo teraz nie macie pieniędzy! Ale ja nie przyjechałem tu jako człowiek szukający zarobku, lecz jako przyjaciel i jako taki chcę działać.

Koszta poniosę chętnie, zwłaszcza, że tamtego zadania nie wykonałem. Jeżeli mi pani nie pozwoli teraz rozpocząć kroków, to będę sądził, że straciłem zaufanie pani w zupełności.

Sylwia milcząc podała mu rękę, bo ze wzruszenia nie mogła mówić. Ale łzy w jej oczach dziękowały mu wymowniej, niżby to były czyniły najwymowniejsze słowa.

Zdawało się, jakoby cała okolica sprzysięgła się, żeby pani Herbertowej i jej córce dawać dowody sympatii w niezasłużonym nieszczęściu. Otrzymywały one niezliczoną ilość przesyłek; były to pakiety zawierające suknie i bieliznę, a nawet pieniądze. Ludzie formalnie prześcigali się w okazywaniu im grzeczności. Między innymi, zamożny chłop, znany ze skąpstwa, zakradł się do probostwa. Rozglądał się nieśmiało dookoła, a gdy go zobaczyła Sylwia i pozdrowiwszy go uprzejmie, spytała czego chce, stary nic nie mówiąc wsunął jej do ręki ciężką paczkę pieniędzy i z koniecznym pośpiechem oddalił się. Obawiał się zapewne, że mu się żal zrobi tych pieniędzy i że będzie żałował tej lekkomyślności swojej, która go skłoniła do zoofiarowania.

Sylwia otworzyła pakiet. Było tam 30 srebrnych guldenów, kredą wyczyszczonych. Pokazała je matce i rzekła ze łzami w oczach:

— Nie wiedziałam, że ludzie są tacy dobrzy. To przecie wielka dla nas pociecha, że nam okazują tyle serca, tyle współczucia! Niech im to Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi!

ROZDZIAŁ CXCIII

Ząb za ząb

W hotelu pruskim w Berlinie mieszkali jacyś państwo, widocznie bardzo zamożni. W księdze było zapisane, że to pan Józef Haber z żoną, kupiec z Salzburga. On wysoki, silny mężczyzna, o wymowie austriacko - niemieckiej, cały dzień jadł, pił albo palił. Widać było,

że nie miał pilnych interesów do załatwienia w Berlinie, bo wciąż tylko uganiał za przyjemnościami. Pani Haber, osoba nieładna, ale i niebrzydka, miała bujne złote włosy i cerę bardzo ładną. Do tego ubiera się bardzo elegancko, tak, że prezentowała się wcale nieźle.

Zaglądnijmy do ich pokoju.

Godzina dziewiąta rano, państwo się ubierają. Pani Haber stoi przed lustrem i zajęła się fryzowaniem włosów. To nie przychodzi jej wcale z trudnością, gdyż ma je oło — w obu rękach. To peruka! Na głowie zaś rude włosy.

Przypatrzmy się jej bliżej. Aliści i twarz nam nie jest obca! Przecie to znana nam dobrze piegowata gęba rudej Maryni!

Spojrzała na łóżko, na którym chrapał jeszcze snem sprawiedliwych tak zwany pan Haber. Ubranie jego w nieładzie porzucane było na krześle, tylko kamizelka starannie złożona leżała pod poduszką.

Pani Haber zmarszczyła brwi.

— On mi nie ufa, szepnęła przez zaciśnięte zęby, ale ja sobie z nim dam radę.

Zbliżyła się do niego i potrząsnęła nim silnie.

— Wstawaj ty leniuchu! — rzekła — to złe wrażenie robi w hotelu, że się tak wylegujesz do południa. I to ci powiadam, uważaj dobrze na swoje pieniądze, bo tu w Berlinie dużo złodziei! Gdzie ty chowasz swoje pieniądze?

— Już ty się o to nie troszcz — odpowiedział Józef — już ja siebie będę pilnował! A ty swoje gdzie trzymasz?

— W halce! — odpowiedziała Marynia — to najpewniejsze!

To nieprawda, pomyślał sobie Józef — halkę jej przeszukałem najdokładniej, gdy spała. Tam nie ma... Gdzie ta ruda małpa schowała te pieniądze?

Ubierał się żwawo, gdy tymczasem Marynia na piegowatą cerę zaczęła nakładać warstwy blanszu i różu.

Po pewnym czasie oboje w najlepszej zgodzie poszli na dół na śniadanie.

Tam zwróciła się do niego Marynia w czasie śniadania.

— Wiesz co? rzekła lubieżnym głosem — musimy się dzisiaj porządnie zabawić.

— Dobrze — odpowiedział — pójdziemy rano do kościoła, po obiedzie drzemka, a wieczorem koncert.

— Nie rób durnych wiców — upomniała go żona. — Rano będziemy po restauracjach próbować piwo, gdzie jest najlepsze.

— Dobrze! — zgodził się Józef — a po południu?

— Naprzód zjemy sobie dobry obiad, potem odpoczniemy trochę, a wieczorem pójdziemy do teatru na „Amazonkę". Wiesz, to ci pyszny kawałek! Chłopiec przebiera się za pannę i mężczyźni giną za nim z miłości i kupują mu prezenty! Tam ci dopiero śmiać się można do rozpuku.

Józef się zgodził.

Kiedy się wybierali w drogę podpatrzył, że ona przed wyjściem, jeszcze rozpina na chwilę stanik i wtyka pod spód rękę, jak gdyby się chciała przekonać, czy czegoś stamtąd nie zgubiła.

Aha! — pomyślał sobie — to tam!

Zajechali do jednej piwiarni i kazali sobie podać piwo.

Józef wypił kilka szklanek i oświadczył, że jest niezłe. Złościł się tylko, że ona nie wypiła ani kropli ze swojej szklanki.



Tak oryginalny odpoczynek urządziły sobie angielskie girlsy po męczącej próbie w teatrze rewiowym.

— Niedobre jakieś — tłumaczyła się — natrafimy na jakieś lepsze, to sobie nie pożałuję. Ty wiesz, że ja umiem ciągnąć.

W drugim lokalu piwo smakowało Józefowi jeszcze lepiej. Bo ciepłym śniadanku i dobrych kilku szklankach dogodził sobie tak, że mu się już prawie nie chciało ruszać.

Marynia jadła z nim, ale piła mało.

Opowiadała mu, że jest jeszcze jeden lokal, gdzie ma być dobry bok i Józef nie mógł się oprzeć pokusie.

Wybrali się tam i rzeczywiście smakowało im tam piwo bardzo. To też nie żałowali sobie. Józef wlewał w siebie szklankę po szklance, choć nic po nim tego znać nie było. Nie czerwienił się, nie stawał się weselszym, ani ociężałszym — zdawało się, że pije czystą wodę.

Nie był to jednak ostatni posterunek. Zwiedzili jeszcze kilka lokalów, potem dopiero mieli wracać do hotelu na obiad.

— Dlaczego do hotelu? — mówił Józef — wstąpimy gdzie po drodze do jakiej restauracji.

— Dobrze — zgodziła się Marynia —, ale w separatce. Po co nam mają zaglądać do pyska, co my jemy.

— Nu, nu — mruknął Józef.

W restauracji kazali sobie dać separatkę i obstalowali przepyszne menu, przeplatane w wielkim nieładzie ulubionymi potrawami Józefa.

Apetyt okazali tak dobry, jak gdyby przez cały ranek pościli.

Do obiadu popijali stare czerwone wino; Józef był bardzo szarmancki i towarzyszce ciągle dolewał. Nie uważał tylko, że ona za każdym razem zmieniała szklanki i brała sobie jego szklankę próżną, a jemu stawiała swoją pełną, tak, że on zawsze wypijał dwie, zanim ona ledwie jedną.

Przy tym wszystkim jednak oboje patrzyli na siebie z podełba. Ona irytowała się w duchu, że na niego alkohol prawie wcale nie działał, że mu się nawet jeszcze język nie plącze, a Józef z gniewem widział to samo u niej.

Wreszcie jednak widocznie alkohol podziałał na nią.

Chcąc się trącić z Józefem, uderzyła swoją szklanką jego tak silnie, że jego szklanka pękła i wino polało się czerwonym strumieniem.

A! to dopiero niezgrabność! irytował się Józef, w głębi duszy mocno zadowolony.

— Zdaje mi się, że jesteś pijana.

— Coś mi się trochę miesza w głowie — przyznała się Marynia, chociaż była trzeźwą, a chytrze patrzące oczy zadawały kłam jej słowom. — Ajajaj — cały twój przód od koszuli zlany! Będziesz się musiał przebrać zanim pójdziemy do teatru.

— Ani mi się nie śni! — zawołał Józef — komu się nie będę podobał, niech na mnie nie patrzy!

— Cóż ty sobie myślisz właściwie? — oburzyła się Marynia — że my pójdziemy gdzieś na jakie miejsca, gdzie nasz portier chodzi? Nie kochany, my musimy siedzieć w parterze, między państwem! A tam nie można w poplamionej koszuli!

Zapłacili więc rachunek i wyszli na ulicę.

— Jedziemy, czy idziemy? — spytała Marynia.

— Hm! diabli wiedzą, nie piłem przecież wcale tak wiele, a tak mi się głowa kręci. Może lepiej pójść. To wino wywietrzeje z głowy.

— No to idź sobie sam, ja pojadę — odpowiedziała Marynia — ja nie mam ochoty zataczać się z jednego chodnika na drugi. Nie trzeba mnie było tyle nalewać. Bądź zdrów, w hotelu zobaczymy się.

— Dobrze — rzekł Józef — a potem razem pójdziemy do teatru.

Z zadowoleniem przypatrywał się, jak ona wsiadła do dorożki i pojechała.

Ledwie dorożka znikła mu z oczu, ruszył w drogę, i rozglądał się dobrze dokoła, aż zobaczył aptekę.

Tam, trzymając chustkę do nosa przy policzku skarżył się z kwaśną miną, że go zęby bolą i prosił o lekarstwo.

Prowizor radził mu różne rzeczy, ale on na każdą propozycję odpowiadał, że próbował już, ale bez skutku. Wreszcie poprosił o chloroform, mówiąc, że to jedyny środek, który mu pomaga.

Prowizor mówił, że nie wolno mu tego sprzedawać bez polecenia lekarza, ale dał się namówić i sprzedał mu małą flaszeczkę.

Józef zadowolony wetknął ją do kieszeni i zamyślony wyszedł z apteki.

Wracając do pruskiego hotelu, mruczał pod nosem:

— Dziś, albo nigdy.

Marynia dawno już była w hotelu.

Zamknęła drzwi za sobą na zasuwkę i otworzyła komodę.

Zupełnie nie było poznać po niej, że rzeczywiście była pijana, tak jak zapewniała o tym Józefa.

Wyjęła z komody kamizelkę, bardzo podobną do tej, którą Józef nosił tego dnia, złożyła arkusz dużego papieru ze starej gazety, odpruła w jednym miejscu podszewkę kamizelki, papier wetknęła do środka i zaszyła szew napowrót.

Przytem dziwnie błyszczały jej oczy, a usta szyderczym uśmiechem wykrzywione, szeptały różne jakieś słowa.

— Na co temu durniowi pieniądze? — szeptała — zdaje się, że one mnie się lepiej przydadzą.

Potem poprawiła perukę i przygotowała sobie garderobę do teatru.

Gdy skończyła, zjawił się Józef.

— Czego to tak długo trwało — przywitała go — musiałeś jeszcze gdzieś wstępować na szklaneczkę. Myślałam, że już nie wrócisz! Prędko, przebieraj się, pomogę ci! Prędko, żebyśmy się nie spóźnili!

Pomogła mu zdjąć surdut, kamizelkę i naciągnęła mu przez głowę czystą koszulę.

— A to co, do stu diabłów!? — złościł się Józef. To ja siedzę w tej koszuli jak w worku! Czemu nie ściągniesz!

— A to ja głupia! — śmiała się Marynia — zapomniałam się i zapięłam dziurkę na spinkę i to nie chce wleźć przez głowę! Widzisz, to wszystko dlatego, żeś mi dawał tyle pić!

Pośpieszyła mu na pomoc i prędko koszula siedziała w porządku na jego barkach. Ale podczas gdy koszula jeszcze zasłaniała mu głowę, twarz i oczy, w tej chwili zmieniła obie kamizelki.

Tę, którą Józef zdjął z siebie, wetknęła sobie do dużej kieszeni, a drugą, którą wyjęła z komody, położyła pod ręką.

Naciągnąwszy mu koszulę podała mu ją i widziała z ukrytą radością, jak Józef przekonywał się, czy to ta sama i macał, czy pod podszewką są zaszyte tam papiery wartościowe, stanowiące jego majątek.

Gdy Józef już był całkiem ubrany, upadła na krzesło i rzekła jęcząc:

— Ojojoj! Tak mi czegoś niedobrze! Najchętniej bym się położyła do łóżka. Wiesz co, idź ty sam do teatru, a ja zostanę w domu.

— Także coś — irytował się Józef — sam mam iść do teatru? A kogo ja będę trącał, kiedy oni tam będą mówić dobre kawały. Nie, tak się nie robi. Naprzód budzisz we mnie ochotę na przedstawienie, a potem nie chcesz iść. Nic z tego! Chodź! a jak ci będzie niedobrze, to w każdym antrakcie możesz sobie wychodzić.

Marynia teraz za nic w świecie nie chciała obudzić jego podejrzenia i usłuchała go.

Siedli do doróżki i pojechali do teatru Walnera. Po drodze Marynia jeszcze jęczała, ale w parterze widowni teatralnej, widocznie było jej już lepiej.

Szeptała Józefowi uwagi o otoczeniu, a gdy kurtyna się podniosła, pokładali się ze śmiechu nad groteskową akcją słonej sztuki, która im właśnie bardzo przypadła do smaku.

Gdy jednak pierwszy akt się skończył, oświadczyła, że jej znowu tak niedobrze, że teraz już koniecznie musi iść do domu. Trzymała się jak długo ale już jej sił nie starczy.

Wzięli więc dorożkę i wrócili do pruskiego hotelu. Po drodze bardzo zręcznie udawała chorą, w domu rzuciła się na sofę i jęczała w rozmaitych tonach, gdy tymczasem Józef majstrował coś w pokoju.

— Józef — rzekła nareszcie Maria łagodnie — przykro mi, że przeze mnie się nudzisz w domu. Dziękuję ci, żeś mnie odwiózł do domu, teraz możesz jeszcze pójść do jakiegoś lokalu się zabawić.

— Nic nie szkodzi — rzekł Józef i zbliżył się do niej, jakby się z nią chciał popieścić.

Ale w następnej chwili rzucił się na nią i przycisnął jej do ust i nosa chustkę namoczoną w chloroformie.

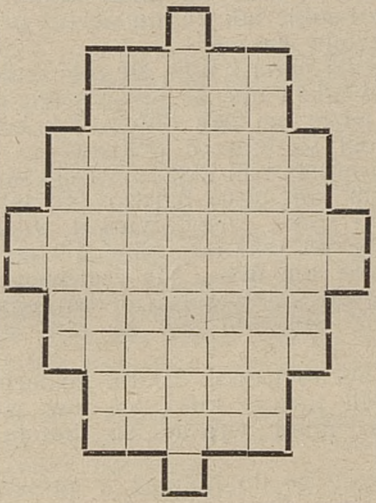
Ona wydała kilka dzikich głosów i straciła przytomność.

Kochanek nie martwił się tym jakoś, tylko prędko rozsznurował jej gorset z pod którego wyciągnął dobrze zawinięty pakuneczek.

Z uśmiechem schował go do kieszeni, potem wziął kilka rachunków hotelowych, bilety do teatru i kawałek gazety i to wszystko schował jej pod gorset. (C. d. n.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf
ul. Michał Choszcz.



W poziomie rządki wpisać wyrazy o podanym niżej znaczeniu.

Rząd środkowy czytany z góry na dół da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska; 2) Broń starych Filistynów; 3) Kryte czółno; 4) Imię męskie grecko - katolickie; 5) Szacunek, poszanowanie inaczej; 6) roznosiciel gazet; 7) Spadek inaczej; 8) Sędzia polubowny; 9) Jaskinia, jama; 10) Odmiana słowa post; 11) Pracownik drukarski; 12) Samogłoska.

Bilety wizytowe
pod. M. P.

ALI ŚYNKOZ SĄD
OLGA BIN ZAWIŁKO NEAPOL
AOGA WARZÓKO LILLE

Odgadnąć trzy pseudonimy z „Krainy".

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 29 września 1937 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 37 „Moich Powieści" Krzyżykówka: 1. Zabija, 2. Armata, 3. Witold, 4. Atleta, 5. Laweta, 6. Ignacy, 7. Domino, 8. Rolnik, 9. Obłoki, 10. Grajek, 11. Alfred, 12. Miłość, 13. Aniela, 14. Gdynia, 15. Łowicz, 16. Organy, 17. Salome.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jabłoński Jan — Toruń, Chodzierski Jan — Grudziądz, Dębski Zygmunt — Poznań, Łaganowski Kaz. — Dzierżążno.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jabłońskiemu z Torunia i Chodzierskiemu z Grudziądza.

FLAVIA STENO.

8)

Nauczycielka

Ach, Sir Herbercie, niech pan nie zawiedzie najwyższej nadziei i najwyższej radości ukochanej swojej! Niechaj niesłuszna zazdrość i niedorzeczna miłość własna nie zatrzymują pana dłużej! Pan musi cierpieć ogromnie zdaleka od swego Lynn-Castle; a zwłaszcza daleko od swej żony i dzieci!

Dlaczego dobrowolnie skazuje się pan na daleką, samotną wędrówkę, po ziemi, podczas gdy tutaj czeka na pana tyle słońca, tyle przywiązania, tyle miłości prawdziwej, namiętnej, świętej i najczystszej?

Proszę wierzyć starej przyjaciółce, biedny sir Herbercie!

Niech pan przyjedzie! Żona pańska — to anioł!

Gdyby pan mógł choć raz usłyszeć modlitwę, którą odmawia razem z dziewczynkami za najdroższego tatusia, nie mógłby pan wątpić już dłużej!

Chce pan innego dowodu? Popełniłam niedyskrecję: znalazłszy pewnego dnia pokój lady St. John otwarty, weszłam: na biurku leżało zamknięte album, skromnie oprawione; otworzyłam je: był to dziennik pańskiej żony, sir Herbercie! całe jej życie najwewnętrzniejsze, życie serca, myśli i pragnień: zaczynał się datą jej przyjazdu, jako nauczycielki pańskich dzieci, a kończył rozdzierającą stroną, napisaną w dniu pańskiego odjazdu! Ileż czystości, miłości, uczciwości w tych kartkach! Gdyby pan znał piękność tej świętej duszy, którą uważa pan za występną!

Cała wycierpiana męka płacze na tych kartkach: a gdyby pan widział ostatnią, ile na niej śladów łez!

Wszystko, co należy do tej męczennicy jest święte: jej wdowi pokój wygląda, jak sanktuarium! Portrety pana i Lorenzo panują jedynie w tej świątyni pamiątek!, Na pańskim jest napis: Dum vivam et ultra! Na Lorenza, modlitwa: Ty, który teraz wiesz, módl się za nas, a zwłaszcza za niego!

O mój przyjacielu, czy może pan wątpić jeszcze? czy może pan wahać się, czy oddać tej kobiecie sprawiedliwość, którą jej pan winien? Nie dopełniłby pan swego obowiązku, pan, który chce być sędzią drugich!

Proszę pamiętać, że dla mnie Lynn-Castle jest to sanktuarium!...

Niech się pan nie waha: Bóg wynagrodzi pana dobry uczynek i odda w dwójnasób minione szczęście. Oczekuję pana.

Maly Campbell.

Sir Georges Lionel do sir Herberta St. John.

(do oddania po mojej śmierci.)

Kalkuta, 15 kwiecień 1898.

Kochany kuzynie!

Poza grobem nie ma już uraz; mam nadzieję więc, że twój chrześcijański duch będzie miał tyle siły, by udzielić mi przebaczenia, o które cię błagam.

Byłem niesłychanie występny: wniosłem nieszczęście do waszego domu i torturowałem dwa najszlachetniejsze serca! Czy Bóg mi to wybaczy?

Nie złorzecz mi kuzynie! Kochałem twoją żonę miłością niezdrową, że zapomniałem o moich obowiązkach krewnego, przyjaciela i szlachcica! Ale ona, przysięgam ci, Herbercie, ona jest i była zawsze czysta jak anioł! Nigdy, rozumiesz nigdy, nawet wtedy, gdy jeszcze nie należała do ciebie, nie mogłem otrzymać od niej nawet uśmiechu! Ona cię kocha i kochała cię zawsze! to była jedyna jej odpowiedź na moje występne wyznania! Mój kuzynie! to, co ci mówię, jest szczerą prawdą! Na progu śmierci nie kłamie się już!

Powinienem był znacznie wcześniej złożyć ci to uczciwe oświadczenie. Wybacz mi, nie miałem odwagi!...

Wiedziałem, że podejrzenie i zazdrość kazała ci uciec od żony, nie chciałem ja sam dawać ci sposobu połączenia się z nią i odzyskania nieporównanego szczęścia jej miłości!.... Daruj, mi, zaklinam cię!

Byłem tak nieszczęśliwy, że chciałem i ciebie wciągnąć w swe nieszczęście!

Umieram, okropna febra tego kraju otwiera przede mną grób w dwudziestym ósmym roku życia! Obym mógł przynajmniej, zanim umrę, naprawić choć trochę wielką krzywdę, jaką ci wyrządziłem. Żegnaj, Herbercie!

Powtarzam jeszcze raz, wróć do swej żony i nie podejrzewaj odtąd aniołów!

I miej litość nad nieszczęśliwym twym kuzynem

Georges'em Lionel.

Sir Herbert St. John do lady Campbell.

Kairo, 15 czerwiec 1898.

Bóg ulitował się nade mną! Jego ojcowska ręka, powaliwszy mnie najpierw, raczyła miłosiernie podnieść! Niechaj mu za to będą wieczne dzięki! O moja zacna i droga przyjaciółko! Płaczę, pisząc do pani, ale łzami pocieszenia i radości!...

Dzisiaj mam już dowody niewinności mej żony i nigdy nie daruję sobie, że ją tak okrutnie obraziłem!...

Przybywam, szlachetna moja przyjaciółko, przybywam przytłoczony nadmierną radością, drżący z obawy o swe szczęście! A zatem to prawda, że znów zobaczę mą Anglię i Lynn-Castle i moje dzieci, a przede wszystkim moją ukochaną, moją biedną i świętą Gianninę? O droga pani, brak mi odwagi, by pisać do niej. Niech pani pójdzie do niej: niech jej pani powie, by mi przebaczyła przez ogromne me cierpienie, przez niezmierną miłość, której nigdy nie przestałem mieć dla niej!

O Panie, zaświta mi więc jeszcze promień słońca?

Przybywam

Oddany pani zawsze

sir Herbert.

8 lipiec 1898.

O, Panie, który w nieskończonej swej mądrości zsyłasz ból duszom naszym, by je oczyścić i uczynić godnymi Ciebie, bądź pochwalony po tysiąc razy!

O Panie, który w niezmierzonej swej dobroci, raczysz darzyć nas skarbami Twej łaski i miłosierdzia, bądź uwielbiony zawsze!...

Dzięku Ci, mój Boże! Nie mogę pisać nic więcej! Szczęście, które zalewa me serce, jest tak wielkie, że żadne ludzkie słowo nie potrafiłoby go wyrazić. O Panie, bądź błogosławiony! Ty odebrałeś mi mego słodkiego Herberta! Ty mi go wróciłeś! Moja boleść wzbudziła Twą litość! I uśmiech, i szczęście znów weszły do tego domu!....

O mój ukochany ,najdroższy! o Herbercie, mój skarbie, moje życie! jakże mi brakowało ciebie!... Widzisz? Moja biedna głowa posiwiała pod ciężarem bólu, bo nie było już twej drogiej piersi, na którejbym ją oprzeć mogła! Moje biedne ramiona zdrętwiały, bo nie miały już twej ukochanej głowy, by ją objąć i przycisnąć do serca!... Moje małe usta zbladły bez twych pocałunków, a te biedne oczy, które tyle przepłakały, nie odnajdą już pewnie swego dawnego blasku!... Nie szkodzi, kochany! Niech nawet zginie ta moja piękność, która ci tyle cierpień sprawiła! Bylebyś ty mnie kochał!....

Och! wczoraj gdy cię znów zobaczyłam po tak długiej rozpaczy; gdy mnie wziąłeś w swe ramiona i uczułam twe łzy, spadające na twarz moją i twój słodki głos, przerywany łkaniem, błagający, bym ci przebaczyła i kochała cię znowu, Bóg widział, jak błogosławiłam wszystkie me męki, całą smutną przeszłość, całą rozpacz wycierpianą, gdyż przez nie zasłużyłam na tę najwyższą radość, że jestem godną ciebie!...

KONIEC.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 26 września 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 „Dzień kolejarza polskiego" — transm. z Torunia — nabożeństwo 11.00 Marsze i walce (płyty) 12.03 Poranek z Wystawy Radiowej w Wilnie 13.10 Koncert rozrywk. w wyk. ork. dętej Kol. Przysp. Wojsk. z Torunia 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Pieśni kurpiowskie 16.30 Współczesna muzyka francuska (płyty) 17.00 „Podróżnik i miłość" — Teatr Wyobraźni 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie 20.00 Kwartet Lénera i Oktet Squire'a 21.00 „Diabeł w zalotach" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Recital skrzypcowy Marii Marco 22.30 Pieśni w wykonaniu Edwarda Bendera.

Poniedziałek, dnia 27 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata F-Dur op. 10 Nr. 2 12.15 Dochody i rozchody w gospodarstwie domowym — pogadanka 12.25 Muzyka (płyty) 12.40 Od warsztatu do warsztatu: grawerzy 16.00 „Dziwy techniki" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy 16.45 Obyczaje sportowe — felieton 17.00 Koncert solistów 17.50 „Puszcza w jesieni" — pogadanka 18.15 W takcie na trzy czwarte (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 20.00 Muzyka taneczna 21.00 „Nimfy nad jeziorem Gopłem" — opera Kurpińskiego, ze Lwowa.

Wtorek, dnia 28 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Edward Grieg 12.25 Lekki koncert 16.00 „Zagadka geograficzna" — aud. dla dzieci starszych 16.20 Ludowe pieśni rumuńskie 16.45 „W Maciejowicach" — felieton 17.00 Koncert z Ciechocinka 18.15 Popularni pieśniarze w produkcjach solowych i zespołowych 19.00 „Będzie lepiej" — skecz 19.15 Recital wiolonczelowy Augusta Karjus'a 20.00 Koncert rozrywkowy z udziałem chóru Dana 21.45 „Doktór Piotr" — opowiadanie Stefana Żeromskiego 22.00 Koncert.

Środa, dnia 29 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ruggiero Leoncavallo: fragmenty z op. „Pajace" (płyty) 12.15 Jak trzeba się ubierać na wsi? — pogadanka 12.25 Koncert orkiestry rozrywkowej z Łodzi 16.00 „Poetyckie echo Lalki" — szkic literacki 16.15 Chór im. Moniuszki pod dyr. St. Wiechowicza i wojsk. ork. dęta 16.45 Szpiegostwo sowieckie — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 O samochodzie i jego kierowcy — pogadanka 18.15 Muzyka lekka 19.00 „Słynni dyrygenci" — 24 audycja (ostatnia) 20.00 Hurra! Uwertura! lekka audycja muzyczna 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Doktór Piotr" — opowiadanie Stefana Żeromskiego 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 30 września 197 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Poranek muzyczny dla liceów — transm. z Poznania — „Pieśni w historycznym rozwoju" 12.15 Pogadanka rolnicza 12.25 Muzyka salonowa 16.00 „Na siodełku motocykla" — pogadanka dla dzieci 16.15 Ludwik Beethoven: Sonata na wiolenczelę i fortepian 16.45 „Działkowcy zbierają plony" — felieton 17.00 Koncert z Ciechocinka 18.15 Małe zespoły jazzowe (płyty) 19.00 „Pułapka" i premiera słuchowiska oryginalnego 20.00 Koncert rozrywkowy — ze Lwowa 21.45 „Doktór Piotr" — opowiadanie St. Żeromskiego 22.00 Recital śpiewaczy Rose Bampton 22.30 Sonaty w wyk. Maryli Jonasówny.

Piątek, dnia 1 października 1937 r.

6.1 Audycja 11.15 Audycja z okazji Tygodnia Szkoły Powszechnej 11.40 Antoni Dworzak: Tańce słowiańskie 12.15 Skrzynka rolnicza 12.25 Mała Ork. P. R. 16.15 Koncert rozrywkowy 16.45 „W Rio i w Interiorze" — reportaż 17.00 Utwory skrzypcowe i pieśni 18.15 Lekkie piosenki 19.00 Recital fortepianowy 19.30 Franciszek Schubert 20.00 Ze starych i nowych operetek 21.45 Kwadrans poezji Maurycego Maeterlinck'a 22.00 Koncert wieczorny.

Sobota, dnia 2 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół: „Śpiewajmy piosenki" 11.40 Jan Brahms: Rapsodia na alt 12.25 Wileńska Orkiestra pod dyr. Wł. Szczepańskiego 16.00 „W pustyni i puszczy" — słuchowisko dla dzieci 16.30 Uwertury — koncert w wyk. Ork. Adama Hermana — z Krakowa 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy 17.50 „Latarnia morska na Helu" — felieton 18.15 Tarantele (płyty) 19.00 Węgierskie melodie (ze Lwowa) — ork. mandolinistów 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.55 „Oszczędna gospodarka paszami" — pogadanka 21.05 Muzyka taneczna.

HUMOR

ŚWIETNA REWIA

W cukierni spotyka się dwu dyrektorów teatrzyków. Rozmowa od razu zeszła na tematy teatralne:

— Znana historia! — rzekł jeden — dziś są pustki. Pamiętam jak to w zeszłym roku w moim teatrze, około tysiąca osób stało przed gmachem i nie mogło się dostać do środka...

— Dawał pan chyba jakąś świetną rewię!

— Żadnej rewii nie dawałem, teatr się palił!

W SĄDZIE

Sędzia do oskarżonego Kuby: Na mocy wyroku dostaniecie albo 10 dni kozy, albo 20 zł. Co wy na to?

Kuba kłaniając się nisko: Toć, kiedy już tak padło, dopraszam się łaski Prześwietnego Sądu, to już wolę 20 zł i proszę, niech mi je Prześwietny Sąd zaraz wypłaci.

JUŻ NIE KOCHA

— On mnie już nie kocha...

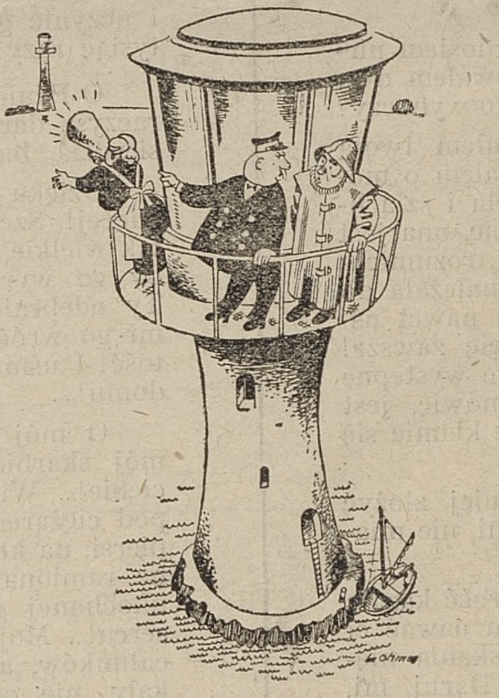
— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo dawniej, to mnie błagał o cały lok włosów, a teraz gniewa się, jak znajdzie jeden malutki mój włos w zupie!

SIŁA ZŁEGO

— No co, Magda, a pudrem to się już nie smarujesz?

— Smarować, to się smarowałam, ale jak mój mnie raz kijem zato bez plecy posmarował, to mi się każdego jenszego smarowania odechciało.



— Moja żona jest w tej chwili zajęta; rozmawia z sąsiadką z drugiej latarni.

CZY JEST SUMIENNY

— Czy mleczarz pani jest sumienny.

— O, jeszcze jak!!! Steryllizuje nawet wodę, którą wlewa do mleka.

FILOZOFIA MALCA

Mały Kazio często filozofuje. Patrząc na młodziutką mateczkę z największą czułością pyta.

— Czy ty jesteś dziewczyną?

— Nie.

— A czymże jesteś?

— Kobietą.

— Czy byłaś dziewczyną?

— Tak, moje dziecię.

— To gdzież się ta dziewczyna podziała?

DOBRY PRZYKŁAD

— Skąd panu przyszła idea zostać siłaczem?

— Wziąłem jedynie przykład z ojca — był dentystą.

LOGICZNA ODPOWIEDŹ

Nauczyciel: — Jasiu, jakiego rodzaju jest jajo?

Uczeń: — To zależy od tego, co się z niego wylęgnie, kogut czy kura.

KOGO BY CHCIAŁ ZOBACZYĆ

— No, Kazieczku, ciesz się, bocian przyniósł ci małego braciszka, chcesz go zobaczyć?

— Braciszka nie, ale bociana tobym chciał zobaczyć!

O PODATKACH

Nauczyciel: — Bywają podatki pośrednie i bezpośrednie. Frąckiewicz daj mi przykład na podatek pośredni.

— Opłata od psów.

— Co? To ma być podatek pośredni? Mylisz się.

— Pośredni, bo to nie pies płaci, tylko człowiek.

NIEPOKÓJ

Wszyscy wiedzą, że zamieszkały w miasteczku handlarz nierogacizną odprowadza co tydzień stado świń do miasta, a potem wraca z tego wypchanym portfelem.

Dwaj bandyci postanowili kupca obrabować. Właśnie siedzą w zasadzce opodal szosy i czekają. A przypuszczalna ofiara nie nadchodzi. Mija godzina, potem druga, kupca nie widać.

— Do kroćset — wzdycha jeden ze zbójów — żeby mu się aby nie stało co złego.

TO ZALEŻY

Jadąc tramwajem, Mazurkiewicz stał się ofiarą zderzenia i wyszedł z katastrofy ze złamaną ręką, wskutek czego nosi ją teraz na temblaku.

— Długo ją tak będziesz nosił? — pyta przyjaciel.

— Sam nie wiem. Zdania są podzielone. Lekarz zapewnia, że dwa tygodnie wystarczy. Ale adwokat, który prowadzi moją sprawę przeciwko dyrekcji tramwajowej, mówi, że trzeba będzie ponosić przynajmniej kwartał.

OGŁOSZENIA DROBNE

NAWIĄŻĘ KORESPONDENCJĘ z przystojnym panem, najchętniej z leśnikiem do lat 30. Of. M. P. pod „Leśniczanka".

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie